

NICZEGO WIĘCEJ NIE PRAGNĘ

PROLOG

Zek i Zak siedzieli w domku na drzewie, ciasno stłoczeni jeden obok drugiego, bo niewiele tu było miejsca. W tej solidnej drewnianej kryjówce pośród gałęzi starego szacownego jaworu zawsze omawiali swoje ważne sprawy i tajemnice.

Dziś drobny deszcz bębnił o daszek i moczył ciemnozielone liście. Było dość ciepło, jak na początek września, i chłopcy mieli na sobie bawełniane podkoszulki. Zek czerwoną, a Zak niebieską. Bracia bliźniacy wyglądali identycznie niby dwie krople wody. Kiedy się urodzili, ojciec wprowadził system kolorów, aby uniknąć pomyłek. Gdy zamieniali się swoimi kolorami, a często się to zdarzało, mogli nabrać każdego w Taylor's Grove. Z wyjątkiem ojca.

W tej chwili właśnie on zaprzętał ich uwagę. Rozważali bowiem szczegółowo wszystkie czekające ich przyjemności i okropności, wiążące się z pierwszym dniem w szkole. Pierwszym dniem w pierwszej klasie.

Będą jeździli autobusem, tak jak w zeszłym roku do zerówki. Ale teraz zostaną w szkole podstawowej w Taylor's Grove przez cały dzień razem ze starszymi dziećmi. Kuzynka Kim ciągle powtarzała, że prawdziwa szkoła to nie jest plac zabaw.

Zak, bardziej dociekliwy z braci, już od tygodni o tym rozmyślał, dokładnie analizował całą sprawę i zamartwiał się. Przerażały go groźnie brzmiące terminy, jak „praca domowa” czy „udział w lekcji”, o których Kim w kółko gadała. Wiedzieli, że ich kuzynka, która była już w drugiej klasie liceum, często taszczyła różne książki. Wielkie, grube i bez obrazków. A czasem, gdy zostawali pod jej opieką, godzinami siedziała pogrążona w lekturze. Równie długo potrafiła tylko wisieć przy telefonie.

Dla Zaka - wiecznego czarnowidza - był to poważny powód do niepokoju.

Tata im oczywiście pomoże, zaznaczył Zek, niepoprawny optymista. Czyż nie nauczyli się czytać „Śpiącej królowny” i „Kota w butach”, bo tata pomagał im sylabizować? Umieeli również napisać wszystkie litery alfabetu i własne imiona, bo to też im pokazał.

Cały kłopot polegał na tym, że tata musiał pracować, zajmować się domem i nimi oraz Kapitanem Zarkiem, wielkim żółtym psiskiem, wziętym ze schroniska dwa lata temu. Więc tata, zdaniem Zaka, strasznie dużo miał do roboty. A teraz, kiedy pójdą do szkoły i zaczną się odrabianie lekcji, rozwiązywanie zadań i prawdziwe stopnie, będzie potrzebował kogoś do pomocy.

- Umówił panią Hollis do sprzątanania raz w tygodniu. - Zek wodził swoim samochodzikiem po wyobrażonym na podłodze torze wyścigowym.

- To nie wystarczy - nachmurzył się Zak, a w jego błękitnych niby dwa jeziora oczach pojawił się smutek. Westchnął głęboko i odgarnął z czoła ciemny kosmyk włosów. - On potrzebuje towarzystwa dobrej kobiety, a my potrzebujemy matczynej miłości. Sam słyszałem, jak pani Hollis mówiła to na poczcie panu Perkinsowi.

- Czasem spotyka się z cicią Mirą. Ona jest dobrą kobietą.

- Ale z nami nie mieszka. I nie ma czasu pomagać nam w odrabianiu lekcji. - Prace domowe wyjątkowo przerażały Zaka. - Trzeba znaleźć jakąś mamę. - Zek tylko westchnął, a Zak zmrużył oczy. - Przecież w pierwszej klasie będziemy musieli nauczyć się poprawnie pisać.

Zek przygryzł dolną wargę. Pisanie budziło w nim koszmarny lęk.

- A jak my ją znajdziemy?

Zak uśmiechnął się i powoli, z namysłem, powiedział wreszcie, o co mu chodzi.

- Poprosimy świętego Mikołaja.

- On nie przynosi mamus - odrzekł Zek pogardliwym tonem. - Przynosi rzeczy i zabawki. A w ogóle to dopiero przed świętami.

- Niekoniecznie. Pani Hollis chwaliła się panu Perkinsowi, że już zrobiła połowę gwiazdkowych zakupów. Mówiła, że dzięki swej przezorności będzie miała czas cieszyć się z udanych świąt.

- Wszyscy się cieszą ze świąt. One są przecież najfajniejsze.

- Aha. Ale mnóstwo ludzi wtedy szaleje, bo w ostatniej chwili robią zakupy. Pamiętasz, jak w zeszłym roku poszliśmy z cicią Mirą do takiego wielkiego sklepu i jak narzekała na tłumy, na ceny, na brak miejsca do parkowania?

Zek aż otrząsnął się na to wspomnienie. Rzadziej niż brat wyciągał logiczne wnioski z przeszłych zdarzeń, lecz tym razem wpadł mu w słowo.

- Więc...

- Więc jeśli poprosimy teraz, Mikołaj będzie miał dużo czasu, aby nam znaleźć odpowiednią mamę.

- Ciągle ci powtarzam, że on nie przynosi mamus.

- A dlaczego nie? Jeśli naprawdę jej potrzebujemy i nie poprosimy prawie o nic więcej?

- Mieliliśmy prosić o dwa rowery - przypomniał mu Zek.

- I dalej możemy - zdecydował Zak. - Ale już o nic innego. Tylko o mamę i rowery.

Teraz z kolei Zek westchnął. Nie bardzo uśmiechała mu się rezygnacja ze swojej długiej listy prezentów. Ale pomysł z mamą zaczynał mu się podobać. Nigdy jej nie mieli i zawsze intrygowała ich ta tajemnicza sprawa.

- A w jaki sposób poprosimy?

- Musimy napisać.

Zak wziął ze stolniczka przy ścianie zeszyt i ogryzek ołówka. Usiedli na podłodze i żywo dyskutując, układali prośbę.

Kochany Mikołaju,

Byliśmy grzeczni.

Zek chciał napisać „bardzo grzeczni”, ale Zak, skrupulant, nie poparł tego pomysłu.

Karmiliśmy Zarka i pomagaliśmy Tacie. Chcielibyśmy dostać na Gwiazdkę mamusię. Jakąś ładną, ktura ładnie pachnie i jest fajna. Może się dużo śmiać i mieć jasne włosy. Musi lubić małych chłopców i duże psy. Nie przeszkadza jej nieporządek i umie piec ciasteczka. Chcielibyśmy, żeby była śliczna i elegancka i pomagała nam w lekcjach. Bendziemy się nią dobrze opiekować. Chcielibyśmy też rowery. Jeden czerwony i jeden niebieski. Masz dużo czasu, żeby znaleźć mamę i zrobić rowery, więc święta będziesz miał udane. Dziękujemy kochający Zek i Zak.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Taylor's Grove, dwa tysiące trzystu czterdziestu mieszkańców. Nie, czterdzieści jeden, z zadowoleniem pomyślała Nell, wchodząc do licealnej auli. Mieszkała w tym mieście dopiero od dwóch miesięcy, ale już uważała je za własne. Lubiła tutejszy brak pośpiechu, czyściutkie podwórka i niewielkie sklepiki. Lubiła sąsiedzkie pogaduszki, huśtawki na gankach i wilgotne od rosy chodniki.

Gdyby ktoś powiedział jej rok temu, że przeniesie się z Manhattanu do jakiegoś punkciku na mapie w zachodnim Marylandzie, uznałaby go za szaleńca. A jednak tu, w Taylor's Grove, gdzie została nową nauczycielką muzyki w liceum, poczuła się tak swojsko i błogo, jak stary pies myśliwski przed ciepłym kominkiem.

Niewątpliwie potrzebowała tej zmiany. W zeszłym roku straciła współlokatorkę, która wyszła za mąż. Sama nie była w stanie płacić ogromnego czynszu. Następna lokatorka, wybrana z dużą starannością, także się wyniosła, zabierając przy okazji wszystkie wartościowe rzeczy z mieszkania. Ta drobna przykra przygoda doprowadziła w efekcie do chyba jeszcze mniej przyjemnej sceny z chłopakiem Nell. Kiedy Bob skrzyczał ją, nazywając głupią, naiwną i nieostrożną, uznała, że najwyższy czas przerwać to pasmo niepowodzeń.

Zwolniła go więc z obowiązków narzeczonego, a wkrótce sama została zwolniona z pracy. Szkoła, gdzie uczyła od trzech lat, restrukturyzowała się, jak to dyplomatycznie oznajmiono. Zlikwidowano stanowisko nauczyciela muzyki, więc Nell musiała odejść.

Puste, lecz za drogie mieszkanie, narzeczoney, który uznał jej optymizm za dewiację, wreszcie perspektywa bezrobocia - to wszystko obrzydziło jej w końcu Nowy Jork.

Kiedy już zdecydowała się na przeprowadzkę, postanowiła wyjechać naprawdę daleko. Idea, by pracować w małym miasteczku, opanowała ją nagle, lecz nieodparcie. Miała intuicję, myślała teraz, bo natychmiast poczuła się tu tak, jakby nigdy gdzie indziej nie mieszkała.

Czynsz okazał się na tyle niski, że mogła być sama, co się jej podobało. Wynajęła całe piętro starego przebudowanego domu, skąd od campusu szkoły podstawowej i średniej dzielił ją krótki, miły spacer.

Dopiero dwa tygodnie minęły od pierwszego nerwowego dnia w szkole, a Nell już zawładnęła sercami uczennic. Dziś szykowała się do pierwszych pozalekcyjnych zajęć ze swoim chórem.

Postanowiła przygotować na święta taki program, który powali całe miasteczko na kolana.

Stare pianino stało pośrodku sceny. Podeszła do niego i usiadła. Wkrótce zjawia się uczniowie, ale miała jeszcze chwilę. Aby się rozruszać, zagrała sobie Muddy Waters, starego dobrego bluesa. Z zadowoleniem stwierdziła, że ten wysłużony instrument był wprost stworzony do takiej muzyki.

- Kurczę, ona jest super - szepnęła Holly Linstrom do Kim, gdy bezszelestnie wślizgnęły się do sali.

- Taaa... - Kim położyła ręce na ramionach swych małych kuzynów bliźniaków i stanowczym uściskiem dała im do zrozumienia, że mają być cicho. - Stary pan Striker nigdy nie grał czegoś takiego.

- Zobacz te jej ciuchy. - Holly z podziwem i zazdrością gapiała się na Nell ubraną w wąskie spodnie, długi żakiet i krótką bluzeczkę w paski. - Nie wiem, dlaczego ktoś taki z Nowego Jorku chciał tu przyjechać. A widziałaś dziś jej kolczyki? Założę się, że kupione w najlepszym sklepie na Piątej Alei.

O biżuterii Nell krążyły już wśród dziewcząt legendy. Nosiała rzeczy wyjątkowe i niezwykle. Jej dobry gust, jej ciemnozłote włosy, opadające na ramiona w wyrafinowanym nieładzie, jej gardłowy śmiech i bezpośredni sposób bycia - to wszystko od razu zaimponowało uczniom.

- Ma swój styl - przyznała Kim. Bardziej jednak zafascynowała ją muzyka aniżeli strój pianistki. - Rany, jak ja bym chciała tak grać.

- Rany, jak ja bym chciała tak wyglądać - odparła Holly i zachichotała.

Na te odgłosy Nell odwróciła się z uśmiechem.

- Wchodźcie, dziewczyny. To darmowy koncert - powiedziała serdecznie.

- Wspaniały, panno Davis. - Kim ruszyła w stronę sceny, mocno trzymając za ręce małych podopiecznych. - Co to jest?

- Muddy Waters. Musieliśmy nauczyć się trochę bluesa podczas studiów... - Nell przerwała i patrzyła na dwie miłe buzie chłopców, towarzyszących Kim. Przez krótki moment miała dziwne, niepojęte uczucie, że ich skądś zna. - Cześć, chłopaki.

Kiedy uśmiechnęli się do niej, u obu pojawiły się na lewym policzku identyczne dołeczki.

- A umie pani zagrać „Panie Janie”? Zanim Kim zdążyła wyrazić swe oburzenie tym pytaniem, Nell z entuzjazmem zagrała tę melodyjkę.

- No i jak? - spytała chłopców.

- Może być.

- Przepraszam, panno Davis. Już od godziny się z nimi męcę. To moi kuzyni, Zek i Zak Taylorowie.

- Taylorowie z Taylor's Grove. - Nell odwróciła się od pianina. - Założę się, że jesteście braćmi. Widzę pewne podobieństwo między wami.

Chłopcy jednocześnie parsknęli śmiechem.

- Jesteśmy bliźniakami - poinformował Zak.

- Naprawdę? No to się założę, że odgadnę, który jest który. - Podeszła do brzegu sceny, usiadła i przyglądała się im zmrużonymi oczami. Znowu się uśmiechnęli. Ostatnio stracili mlecze zęby, obaj górną lewą jedynekę. - To jest Zek - pokazała palcem Nell - a to Zak. Potwierdzili zadowoleni i zaskoczeni.

- Skąd pani wiedziała?

Jakoś głupio było jej przyznać, że miała szansę pół na pół.

- To czary - odrzekła. - A lubicie śpiewać?

- Czasami. Trochę.

- No więc dziś możecie słuchać. Usiądziecie w pierwszym rzędzie i będziecie naszą publicznością.

- Dziękuję, panno Davis - szepnęła Kim i przyjaźnie popchnęła kuzynów w stronę krzeseł.

- Na pewno będą grzeczni cały czas. Siadać! - rozkazała im władczym tonem starszej siostry. Nell, wstając, mrugnęła porozumiewawczo do chłopców, a potem kiwnęła ręką wchodzącym uczniom.

- Proszę tutaj, zaczynamy.

Większość rzeczy dziejących się na scenie nudziła braci. Najpierw wszyscy tam po prostu o czymś rozmawiali, a potem zrobiło się zamieszanie, gdy wyjęto nuty i zajmowano wyznaczone miejsca.

Ale Zak obserwował Nell. Miała ładne włosy i duże brązowe oczy. Jak nasz Zark, pomyślał głęboko wzruszony. Jej głos był zabawny, trochę ochryply i niski, ale miły. Od czasu do czasu Nell popatrywała na nich z uśmiechem. I wtedy coś dziwnego działo się z jego sercem, które biło tak mocno, jak po biegu.

Odwróciła się do grupy dziewcząt i zaśpiewała. To bożonarodzeniowa piosenka, stwierdził ogromnie zdziwiony Zak. Nie wiedział dokładnie jaka, coś o jasności w środku nocy, ale pamiętał, że tata w kółko puszczał tę płytę w czasie świąt.

Gwiazdkowa piosenka. Gwiazdkowy prezent.

- To ona - syknął do brata, kuksając go mocno pod żebro.

- Kto?

- To jest mama dla nas.

Zek przestał grać w swoją grę, wsunął ją do kieszeni i spojrzał na scenę, gdzie Nell właśnie dyrygowała grupą altów.

- Nauczycielka naszej kuzynki Kim to... ta mama, o którą prosiliśmy?

- To musi być ona. - Zak, okropnie podniecony, ściszył głos do konspiracyjnego szeptu.

- Święty Mikołaj miał dość czasu, by dostać nasz list. A ona śpiewała świąteczną piosenkę, ma jasne włosy i miło się uśmiecha. I poza tym lubi małych chłopców, jak mi się zdaje.

- Możliwe. - Zek, niezupełnie przekonany, oglądał z uwagą Nell. Przyznał, że jest śliczna. I śmiała się dużo, nawet gdy niektórzy uczniowie robili błędy. Ale to jeszcze nie znaczyło, że lubi psy i piecze ciasteczka. - Na razie nie możemy być całkiem pewni.

Zak prychnął niecierpliwie.

- Znała nas. Wiedziała, kto jest kto. Czary.

- Popatrzył na brata poważnie i szczerze. - To mama.

- Czary - powtórzył Zek i dalej gapił się na Nell szeroko otwartymi oczami. - Czy będziemy musieli poczekać aż do świąt, żeby ją dostać na Gwiazdkę?

- Tak mi się zdaje. Chyba. - To była zagadka, nad którą Zak zamierzał się głowić.

W chwili gdy Mac Taylor zajechał przed szkołę swoją ciężarówką, głowę nabitą miał mnóstwem różnych spraw. Co podać chłopcom na kolację. Jak sobie poradzić z podłogą w domu na Meadow Street. Kiedy znaleźć trochę czasu, aby zawieźć dzieci do sklepu i kupić im trochę nowej bielizny. Ostatnio przy praniu stwierdził, że większość ich rzeczy przypomina stare zniszczone szmaty. Rano załatwiał transport materiałów budowlanych, a wieczorem czekała go sterta papierkowej roboty.

A jeszcze Zek denerwował się swoim pierwszym dyktandem, które miał pisać za parę dni.

Wkładając kluczyki do kieszeni, Mac poruszył ramionami. Machał dziś młotkiem prawie osiem godzin. Ból mięśni mu nie przeszkadzał. To miły rodzaj zmęczenia, które świadczyło, że coś zrobił. Prace remontowe przy Meadow Street stanowiły ważną pozycję w jego planach i budżecie. Później odnowiony budynek, będący własnością Maca, pójdzie na sprzedaż albo się go wynajmie. Księgowa, jak zwykle, spróbuje decydować sama, ale ostatnie słowo będzie należało do niego, bo właśnie tak lubił załatwiać interesy.

Kiedy podchodził z parkingu do gmachu szkoły, rozejrzał się dokoła. Jego prapradziadek założył to miasto, wtedy zaledwie osadę, rozciągającą się od Doliny Taylora aż po pagórki Łąki Taylora.

Stary Macauley Taylor nie narzekał na brak pewności siebie.

Jednak Mac przez ponad dwanaście lat mieszkał w Waszyngtonie. Mimo że sześć lat temu wrócił do Taylor's Grove, dotąd mu się tu nie znudziło; szczylił się tym miasteczkiem i ciągle cieszył go piękne widoki pokrytych drzewami wzgórz i ciemnej linii gór w oddali. Nie sądził, by kiedykolwiek mogły mu się one znudzić.

Wiał silny wiatr z zachodu i w powietrzu czuło się lekki chłód. Ale jeszcze nie było mrozu i liście miały swą letnią, ciemnozieloną barwę. Ta dobra pogoda ułatwiała Macowi życie z wielu powodów. Jeśli się utrzyma, bez problemów uda mu się dokończyć wszystkie prace remontowe na zewnątrz. A chłopcy będą mogli spędzać popołudnia i wieczory na dworze.

W chwili gdy otwierał ciężkie drzwi i wchodził do szkolnego budynku, poczuł wyrzuty sumienia. On pracował, a dzieciaki musiały spędzić całe popołudnie w tym pomieszczeniu. Nadejście jesieni oznaczało, że jego siostra znów wpadnie w wir różnych prac społecznych. Nie mógł więc prosić ją jeszcze o opiekę nad bliźniakami. Kim miała mnóstwo zajęć pozalekcyjnych, jemu zaś trudno było pogodzić się z myślą, że synowie staną się dziećmi z kluczem na szyi.

Na razie więc to rozwiązywanie wszystkim odpowiadało. Kim będzie zabierać chłopców na swoje próby, a on zaoszczędzi siostrze jeżdżenia do szkoły, bo sam potem wszystkich odwiezie do domu.

Za parę miesięcy Kim ma dostać prawo jazdy, o czym nieustannie każdemu przypomina. On jednak bałby się, gdyby dzieci podróżowały samochodem z jego szesnastoletnią siostrzenicą za kółkiem.

„Rozpieszczasz ich” - tłukły mu się po głowie słowa siostry. - „Nie możesz być dla nich ciągle i matką, i ojcem. Jeśli nie chcesz znaleźć sobie żony, musisz pozwolić im, by stali się bardziej samodzielni”.

Wcale nie chciał, do cholery, szukać sobie żony.

Kiedy zbliżył się do auli, dobiegł go subtelny, harmonijny śpiew młodych głosów. Piękna melodia sprawiła, że się uśmiechnął, zanim ją rozpoznał. Pieśń bożonarodzeniowa. Dziwnie było mu słyszeć ją o tej porze roku, po całym dniu roboty w pocie czoła.

Pchnął drzwi do sali i dźwięki wypełniły go całego. Oczarowany przystanął z tyłu i przyglądał się śpiewającym. Jedna z uczennic grała na pianinie. Śliczna mała - zamyslił się Mac, widząc, jak gestami zachęca kolegów do jeszcze większego wysiłku.

Zastanawiał się, gdzie jest nauczyciel muzyki, potem dostrzegł swoich chłopców siedzących w pierwszym rzędzie. Poszedł cichutko w stronę sceny, pozdrawiając ręką Kim, która go zauważyła. Usiadł za bliźniakami i pochylił się do nich.

- Ładny występ, co?

- Tato! - Zak prawie krzyknął, zaraz jednak przypomniał sobie, że ma mówić szeptem.

- To świąteczna piosenka.

- Zgadza się. A jak tam Kim?

- Ona jest naprawdę świetna. - Zek uważał się już za eksperta w sprawach chóru. - Będzie solistką.

- Serio?

- Strasznie się zaczerwieniła, jak panna Davis poprosiła ją, by zaśpiewała sama, ale dobrze śpiewała. - Zeka jednak bardziej teraz obchodziła Nell. - Jest śliczna, no nie?

Mac, lekko zdziwiony tym stwierdzeniem, bo chłopcy lubili Kim, ale rzadko ją wychwalali, pokiwał głową.

- Tak, to najładniejsza dziewczyna w całej szkole.

- Moglibyśmy czasem zaprosić ją na kolację - dodał przebiegle Zak. - Prawda?

Mac znów zakłopotany potargał włosy syna.

- Wiesz przecież, że Kim przychodzi do nas, kiedy tylko zechce.

- Nie ona. - Zak, naśladując ojca, przymknął oczy. - Jezu, tato, panna Davis!

- A kim jest ta panna Davis?

- To ma... - Kuksaniec brata przerwał Zekowi odpowiedź.

- Nauczycielka - dokończył Zak, piorunując spojrzeniem Zeka. - Ta ładna - pokazał palcem.

Wzrok ojca powędrował w stronę pianina.

- Ona jest nauczycielką? - Zanim Mac zdążył to przemyśleć, muzyka przycichła, a Nell wstała.

- Byliście naprawdę wspaniali. Świetnie jak na pierwszy raz. - Odrzuciła w tył zmierzwione włosy. - Ale potrzeba jeszcze dużo pracy. Następną próbę wyznaczam na poniedziałek po lekcjach, za kwadrans czwarta.

Zrobił się już ruch i hałas, więc Nell podniosła głos, by móc dokończyć mimo tego gwaru. Potem zadowolona odwróciła się z uśmiechem do bliźniaków i spostrzegła zmieszana, że śmieje się do kogoś, kto był kopia obu braci, tyle że w starszej wersji.

Bez wątpienia to ich ojciec - pomyślała Nell. Te same gęste ciemne włosy. Te same przyglądające się jej zielonkawe oczy, obramowane ciemnymi gęstymi rzęsami. Twarzy jego brakowało miękkości i dziecięcej krągłości, ale ta surowość była równie zajmująca. Wysoki, trzymał się prosto, ramiona miał mocne, choć nie przesadnie umięśnione. Był opalony i miał na sobie poplamiony podkoszulek. Zastanawiała się, czy też robi mu się dołeczek w lewym policzku, kiedy się śmieje.

- Pan Taylor. - Zamiast zejść po schodkach, zeskoczyła zwinnie ze sceny jak jakaś nastolatka. Wyciągnęła rękę ozdobioną pierścionkami.

- Panna Davis. - Ujął jej dłoń we własną, stwardniałą od pracy i niezbyt czystą, o czym sobie zbyt późno przypomniał. - Dziękuję, że pozwoliła pani zostać dzieciakom na próbie razem z Kim.

- Nie ma sprawy. Lepiej mi się pracuje z publicznością. - Odgarnawszy włosy, spojrzała na bliźniaki. - No i jak, chłopaki, wypadliśmy?

- Całkiem nieźle - odparł Zek. - Świąteczne piosenki najbardziej się nam podobają.

- Mnie też.

Dołączyła do nich Kim, wciąż jeszcze podniecona myślą o swoim solowym występie.

- Cześć, wujku Mac. Widzę, że poznałeś pannę Davis.

- Owszem. - Nie miał wiele więcej do powiedzenia. Dalej uważał, że ona wygląda za młodo na nauczycielkę. Choć i nie na nastolatkę, jak mu się wcześniej zdawało. Ale jej nieskazitelnie jasna cera i drobna sylwetka mogły człowieka zmylić. I zachwycić.

- Pańska siostrzenica jest bardzo utalentowana. - Nell naturalnym gestem otoczyła Kim ramieniem. - Ma cudowny głos i znakomity słuch muzyczny. Bardzo się cieszę, że mam ją w zespole.

- My też ją lubimy - odrzekł Mac, a Kim zaczerwieniła się po uszy.

Zak przestępował z nogi na nogę. Czy oni muszą ciągle gadać o tej głupiej Kim, pomyślał.

- Może by nas pani kiedyś odwiedziła, panno Davis - wyskoczył nagle z propozycją. - Mieszkamy w dużym brązowym domu przy Mountain View Road.

- Z przyjemnością - odrzekła, jednak zauważyła, że ojciec Zaka nie poparł zaproszenia ani nie wyglądał na szczególnie ucieszonego tym faktem. - A wy, chłopcy, zawsze będziecie tu mile widziani jako publiczność. Popracuj nad swoją solówką, Kim.

- Oczywiście, panno Davis. Dziękuję.

- Miło mi było pana poznać, panie Taylor. Gdy coś mamrotał w odpowiedzi, Nell wskoczyła z powrotem na scenę, aby pozbierać nuty.

Szkoda wielka, myślała, że ojciec nie jest równie czarujący i towarzyski jak jego synowie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie ma chyba niczego przyjemniejszego od jazdy samochodem po wiejskiej drodze w ciepłe jesienne popołudnie. Nell przypomniła sobie swoje nowojorskie wolne soboty. Niewielkie zakupy - przypuszczała, że jeśli za czymś będzie tęsknić, to właśnie za zakupami na Manhattanie - może jakiś spacer po parku. Żadnego joggingu. Po co miała biegać, jeśli spacerem i tak doszła w to samo miejsce.

A jazda autem była jeszcze lepsza. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że przyjemnie jest nie tylko mieć samochód, ale i pędzić nim po pustej szosie za miastem przy opuszczonych szybach i muzyce z radia.

Liście zaczęły się już zmieniać, bo był koniec września. Barwne plamy wypierały zieleni. Na drodze, w którą skręciła wiedzona jakimś impulsem, nad asfaltem pochylały się ogromne drzewa, tworząc wspaniałą cienistą kopułę. Plamki światła błyskały i migotały, gdy jechała zygzakiem po wijących się niby wąż zakrętach.

Dopiero wtedy spojrzała przed siebie i stwierdziła, że to Mountain View Road.

Duży brązowy dom - przypomniła sobie słowa Zaka. Tu, dwie mile od miasta, nie było wielu zabudowań, ale dostrzegła parę domów poprzez liście. Niektóre brązowe, inne białe lub niebieskie. Kilka stało na dnie doliny, reszta na zboczu, gdzie miały wykopane w ziemi dróżki dojazdowe.

Przyjemnie tu mieszkać, pomyślała. I wychowywać dzieci. Mac Taylor może i był sztywnym milczkiem, ale z synami świetnie sobie radził.

Nell zdążyła się już dowiedzieć, że sam się nimi zajmuje. Poznanie rytmu życia małego miasteczka zajęło jej niewiele czasu. Tu jakaś rozmowa, tam przypadkowe pytanie i urosła z tego cała historia rodziny Taylorów.

Mac mieszkał w Waszyngtonie, od czasu kiedy jego rodzice przenieśli się stąd, gdy był jeszcze nastolatkiem. Sześć lat temu wrócił sam z dwójką malutkich dzieci. Jego starsza siostra kończyła college w Taylor's Grove, potem poślubiła miejscowego chłopaka i osiadła tu dawno temu. To ona właśnie, jak wszyscy zgodnie twierdzili, namówiła go do powrotu, by tutaj wychowywał synów po odejściu żony.

- Porzuciła takie maleństwa - opowiadała pani Hollis, spotkawszy Nell przy stoisku z pieczywem w supermarkecie. - Wyniosła się bez słowa i od tej pory się nie odezwała. A młody Mac Taylor dotąd jest dla nich jednocześnie i ojcem, i matką.

Może, pomyślała cynicznie Nell, gdyby od czasu do czasu rozmawiał ze swoją żoną, toby została. Jednak dla matki, która opuszcza niemowlęta i więcej się nimi nie interesuje, nie znalazła żadnego usprawiedliwienia. Niezależnie od tego, jakim mężem okazał się Mac, dzieci nie zasługiwały na taki los.

Myślała o nich teraz, tak zabawnie podobnych do siebie jak lustrzane odbicia. Zawsze przepadała za dziećmi, a te bliźniaki to była podwójna przyjemność. Bardzo cieszyła ją ich obecność na widowni podczas prób chóru, odbywających się raz lub dwa razy w tygodniu. Zek pokazał jej nawet swoje pierwsze dyktando - z wielką srebrną gwiazdą. Gdyby nie przepuścił jednego słowa, jak twierdził, otrzymałby złotą.

Nie mogła też nie zauważyć nieśmiałychem spojrzeń, którymi obdarzał ją Zak, czy szybkich uśmiechów, zanim zaczerwieniony opuszczał oczy. Miło jej było na myśl, że jest obiektem jego pierwszych dziecięcych uczuć.

Odetchnęła z zadowoleniem, gdy samochód wyjechał nagle spod baldachimu drzew na pełne słońce. Ujrzała tu wreszcie owe wznoszące się na tle błękitu nieba góry, od których ta droga wzięła nazwę. Szosa wiła się zygzakiem, a one stały niewzruszone, ciemne, odległe i majestatyczne.

Drogę z obu stron okalały pagórkowate wzniesienia ze sterczącymi gdzieniegdzie skałami. Nell zwolniła na widok domu stojącego na grzbiecie wzgórza. Brązowy. Prawdopodobnie z cedru - pomyślała. Z kamienną podmurówką i z czymś, co przypominało szklaną tafłę, a okazało się tarasem na pierwszym piętrze, ocienionym drzewami. Na jednym z nich wisiała huśtawka.

Ciekawa była, czy to rzeczywiście posiadłość Taylorów. Miała nadzieję, że jej nowi mali przyjaciele mieszkają właśnie w takim solidnym, dobrze rozplanowanym domu. Właśnie minęła skrzynkę na listy umieszczoną obok szosy na skraju podłużnej doliny.

Przeczytała napis na skrzynce: M. Taylor i synowie.

Uśmiechnęła się na ten widok. Zadowolona wcisnęła pedał gazu i bardzo się zdziwiła, gdy autem szarpnęło, a silnik zaczął się krtusić.

- Co u licha? - mruknęła, po czym zwolniła pedał i przycisnęła ponownie. Tym razem samochodem zatrzęsło i stanął na amen. - A niech to!

Lekko zaniepokojona zaczęła przekręcać kluczykiem w stacyjce i przypadkiem spojrzała na tablicę. Lampka wskazująca poziom benzyny świeciła jasną czerwień.

- Ale z ciebie kretyńka - głośno powiedziała sama do siebie. - Kompletna kretyńka. Powinnaś zatankować przed wyjazdem z miasta.

Oparła się o siedzenie i westchnęła. Naprawdę zamierzała zatankować. Już wczoraj miała to zrobić zaraz po lekcjach.

Teraz zaś stała cztery, może pięć kilometrów za miastem bez kropli paliwa. Zdmuchnęła włosy spadające jej na czoło i popatrzyła na dom Taylorów. Na oko kilometr lub dwa spaceru. Co jednak było lepsze niż pięć kilometrów. Ostatecznie została tam zaproszona.

Schowała kluczyki, wysiadła z samochodu i ruszyła dróżką w górę. Gdzieś w połowie zbocza spostrzegli ją chłopcy. Popędzili w dół skalistą ścieżką z taką szybkością, że serce zamierało jej ze strachu. A z tyłu za nimi biegł wielki żółty pies. Zwinni jak młode kozice stanęli przed nią.

- Panna Davis! Cześć, panno Davis! Przyszła pani nas odwiedzić?

- Tak jakby. - Ze śmiechem pochyliła się, by ich przytulić i poczuła delikatny zapach czekolady. Zanim cokolwiek zdążyła na ten temat powiedzieć, pies uznał, że pora przystąpić do działania. Był na tyle grzeczny, że położył jej swe wielkie łapy na udach, a nie na ramionach.

Zak wstrzymał powietrze, lecz zaraz odetchnął z ulgą, bo Nell zachichotała i pochyliła się, głaszcząc Zarka po głowie i grzbiecie.

- Jestem duży, prawda? Duży i piękny. Zark nie miał nic przeciwko tym pieszczotom.

Nell wychwyciła szybką wymianę spojrzeń między braćmi. Coś ich obu ucieszyło i poruszyło.

- Lubi pani psy? - zapytał Zek.

- Jasne. Może teraz sobie wezmę jakiegoś. W Nowym Jorku nie miałabym serca więzić go w mieszkaniu. - Tylko się roześmiała, gdy Zark usiadł i wyciągnął łapę. - Już za późno na formalności, kochasiu - powiedziała do niego, lecz uścisnęła ją mimo wszystko. - Wyjechałam sobie za miasto i akurat na skraju waszej doliny skończyła mi się benzyna. Czy to nie zabawne?

Twarz Zaka cała rozplynęła się w uśmiechu. Lubi psy. Stanęła akurat koło ich domu. Był przekonany, że to coś więcej niż czary.

- Tata to załatwi. On wszystko potrafi. - Teraz już pewien, że Nell nie odejdzie, wziął ją za rękę. Zek, nie chcąc być gorszy, chwycił drugą.

- Tata jest w warsztacie, robi krzywe krzesło.

- Na biegunach? - zapytała Nell.

- Nieee... Krzywe krzesło. Możemy pójść zobaczyć.

Poprowadzili ją dookoła domu, a potem przeszli przez półkolisty pokój oświetlony popołudniowym słońcem. Z tyłu był drugi taras, skąd wiodły schodki na wyłożone

kamiennymi płytami patio. Warsztat znajdował się w głębi podwórza, zbudowany tak samo z cedru, jak dom. Sprawiał wrażenie przestronnego na tyle, że pomieściłby czteroosobową rodzinę. Nell usłyszała stukanie młotka o drewno.

Podniecony Zek pędem wbiegł do warsztatu.

- Tato! Tato! Zgadnij, co się stało!

- Domyślam się, że odmłodziłeś mnie o następne pięć lat.

Nell, słysząc rozbawiony i łagodny głos Maca, zaczęła się wahać.

- Nie chciałabym przeszkadzać - powiedziała do Zaka. - Może po prostu zadzwonię na stację benzynową.

- Ależ nie, chodźmy. - Zak pociągnął ją parę kroków dalej, aż przeszła przez drzwi warsztatu.

- Zobacz! - oznajmił z dumą Zek. - Przyszła!

- Taaa... widzę. - Mac, zaskoczony niespodziewaną wizytą, odłożył młotek na stół. Podwinął do góry daszek czapki i skrzywił się, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

- Panna Davis.

- Przepraszam, że pana niepokoję, panie Taylor - zaczęła, a potem zobaczyła, nad czym pracuje.

- O, gięte krzesło - mruknęła z uśmiechem. - Krzywe krzesło. Ładne.

- Dopiero będzie ładne.

Zastanawiał się, czy powinien zaproponować jej kawę? Zwiedzanie domu? Czy jeszcze coś? Nie miała w sobie nic szczególnego. No, może oczy. Takie duże i ciemne. Ale reszta naprawdę była przeciętna. Uznał jednak, że to wszystko razem tworzy wyjątkową całość.

Nell niepewna, czy to jego taksujące spojrzenie bawi ją, czy raczej wprawia w zakłopotanie, zaczęła się tłumaczyć.

- Wyjechałam za miasto. Trochę dla przyjemności, a trochę, żeby poznać lepiej okolice. Mieszkam tu dopiero od paru tygodni.

- Naprawdę?

- Panna Davis jest z Nowego Jorku, tato - przypomniał mu Zak. - Kim ci już mówiła.

- Faktycznie. - Wziął znowu młotek, a potem odłożył. - Ładny dzień na przejażdżkę.

- Też tak uważam. Tak było ładnie, że tylko o tym myślałam i dlatego pewnie zapomniałam nabrać benzyny przed wyjazdem z miasta. Skończyła się akurat przy waszej dolinie.

- A to szczęśliwy traf - odrzekł z błyskiem podejrzenia w oczach.

- Niespecjalnie szczęśliwy. - Jej głos, choć ciągle przyjazny, trochę ochłódł. - Byłabym wdzięczna, gdybym mogła skorzystać z telefonu i zadzwonić na stację do miasta.

- Mam benzynę - mruknął.

- Widzi pani, mówiłem, że tata to załatwi - powiedział z dumą Zak. - Są czekoladowe ciasteczka - dodał, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by jakoś zatrzymać ją dłużej. - Tata upiekł. Może pani spróbować.

- Tak mi się zdawało, że pachniecie czekoladą. - Podniosła Zaka do góry i powąchała mu buzię. - Mam do tego nosa.

Mac instynktownie wyrwał chłopca z jej ramion.

- Dostaniecie trochę ciasteczek, chłopaki. Idziemy po benzynę.

- Dobra! - Wszyscy się podnieśli.

- Nie zamierzałam go porwać, panie Taylor.

- Wcale tak nie twierdziłem. - Przy drzwiach odwrócił się do nich. - Benzyna jest w komórce.

Szła za nim z zaciśniętymi wargami.

- Prześladował pana w dzieciństwie jakiś nauczyciel, panie Taylor?

- Proszę mi mówić Mac. Po prostu Mac. Nie, dlaczego?

- Zastanawiałam się, czy mamy tu problem osobisty, czy zawodowy.

- Nie mam żadnego problemu.

Stanął przed niewielką budką, gdzie trzymał kosiarkę i narzędzia ogrodnicze.

- Zabawne, dzieci powiedziały pani, gdzie mieszkamy, i pech chciał, że właśnie tu zabrakło pani benzyny.

Nell nabrała powietrza i patrzyła, jak pochyla się po kanister, prostuje i odwraca.

- Proszę mi wierzyć, nie jestem zachwycona tym, że tak się stało, a po przyjęciu, jakie mnie tu spotkało, jeszcze bardziej jest mi przykro. Tak się składa, że to mój pierwszy samochód i ciągle jeszcze o wielu sprawach zapominam. W tym miesiącu zabrakło mi benzyny przed supermarketem. Może pan sprawdzić.

- Przepraszam. - Czuł się głupio z powodu tej swojej niepotrzebnej złośliwości.

- Nie ma sprawy. Jeśli pożyczycy mi pan kanister, wezmę tylko tyle benzyny, by dojechać do miasta, tam go z powrotem napełnię i odwiezę.

- Sam się tym zajmę - mruknął.

- Nie chcę pana zmuszać do wychodzenia. - Sięgnęła po kanister i zaczęli go ciągnąć, każde do siebie. Po chwili w kącie jego ust ukazał się dołeczek.

- Jestem trochę większy - rzekł z uśmiechem. Cofnęła się i odrzuciła włosy spadające na oczy.

- Świetnie. Niech więc pan będzie sobie mężczyzną. - Naburmuszona poszła za nim dookoła domu.

Próbowała zwalczyć ten swój zły nastrój, bo nadbiegli bliźniacy. Obaj trzymali papierowe serwetki z ciasteczkami.

- Tata piecze najlepsze czekoladowe ciasteczka na świecie - oznajmił Zak, podsuwając poczęstunek.

Nell wzięła jedno i spróbowała.

- Chyba masz rację - zmuszona była przyznać z ciasteczkiem w ustach. - Ale ja mam na takie ciastka własny przepis.

- Umiesz piec ciastka? - chciał wiedzieć Zek.

- Tak się składa, że powszechnie jestem znana z moich czekoladowych chipsów. - Uśmiechnęła się nieco zdziwiona, bo chłopcy potakując, znów wymienili spojrzenia. - Możecie kiedyś przyjść do mnie, to szybko upieczemy je razem.

- A gdzie pani mieszka? - Ponieważ ojciec nie zwracał na nich zbyt dużej uwagi, Zek wepchnął sobie do buzi całe ciasteczko.

- Na Market Street, zaraz koło placu. Stary murowany dom z trzema gankami. Wynajmuję górne piętro.

- Ten dom należy do taty - oznajmił Zak.

- Kupił go, wyremontował, a teraz wynajmuje. Mamy dużo nieruchomości.

- Och - głęboko westchnęła. - Rzeczywiście.

- Przecież swoje czeki z czynszem adresowała do firmy Taylora... na Mountain View Road.

- Czyli mieszka pani w naszym domu - podsumował Zak.

- Można tak powiedzieć.

- Podoba się tam pani? - zapytał Mac.

- Owszem. Bardzo wygodnie. Mam blisko do szkoły.

- Tata ciągle kupuje domy, a potem je remontuje. - Zek zastanawiał się, czy uda mu się wziąć kolejne ciasteczko. - Tatuś lubi sam wszystko urządzać.

Jej dom został odnowiony w sposób staranny i przemyślany, toteż było oczywiste, że ich ojciec świetnie zna się na takiej robocie.

- Więc jest pan cieślą? - spytała, niezbyt chętnie zwracając się do Maca.

- Bywam. - Dotarli do samochodu. Mac nieznacznie uniósł kciuk na znak, by chłopcy z psem nie wchodzili na szosę. Zaczął odkręcać korek od baku. - Jeśli zjesz jeszcze jedno, Zek, będę musiał ci zrobić płukanie żołądka - odezwał się, nie podnosząc wzroku.

Zek niechętnie, ociągając się, odłożył ciasteczko do serwetki.

- Świetny ma pan radar - skomentowała to Nell. Stała oparta o samochód, podczas gdy Mac dolewał benzyny.

- Odpowiednio dostosowany do obszaru - odrzekł i spojrzał na nią. Wiatr rozwiewał jej połyskujące w słońcu włosy. Twarz miała zaróżowioną od marszu i świeżego powietrza. Nie podobało mu się, że na ten widok szybciej zabiło mu serce.

- Dlaczego wybrała pani właśnie Taylor's Grove? To spory kawałek od Nowego Jorku.

- Właśnie dlatego. Chciałam jakiejś zmiany.

- Odetchnęła głęboko, patrząc na skałę, drzewo i wzgórze. - No i mam.

- Tu żyje się dość powoli w porównaniu z tym, do czego pani przywykła.

- To akurat bardzo mi odpowiada.

Tylko wzruszył ramionami. Podejrzewał, że najdalej za pół roku zacznie umierać z nudów i myśleć o wyjeździe.

- Kim zachwyca się pani lekcjami. Opowiada o nich prawie tak dużo, jak o swoim prawie jazdy.

- Pochlebia mi pan. To szkoła jest znakomita. Nie wszyscy uczniowie tak chętnie pracują jak Kim, ale lubię trudne zadania. Zamierzam wysłać ją na konkurs stanowy.

Mac uniósł wyżej kanister.

- Naprawdę jest taka dobra?

- Dziwi to pana?

Znów wzruszył ramionami.

- Zawsze uważałem, że ładnie śpiewa, ale poprzedni nauczyciel muzyki specjalnie jej nie wyróżniał.

- Podobno, jak mówią, nigdy nie zajmował się żadnym uczniem indywidualnie ani jakimiś dodatkowymi pracami.

- Słusznie mówią. Striker był starym... - tu ugryzł się w język, bo zobaczył, że stojący obok chłopcy cali zamienili się w słuch. - Był stary - poprawił się. - I uczył według jednego schematu. Zawsze ten sam program świąteczny i ten sam na wiosnę.

- Tak. Przeglądałam jego dzienniki lekcyjne. Mogę powiedzieć, że wszyscy w tym roku powinni być mile zdziwieni. Podobno dotąd żaden uczeń z Taylor's Grove nie brał udziału w konkursie stanowym.

- Z tego, co słyszałem, to nie.

- No więc my to zmienimy. - Zadowolona, że wreszcie zaczęli rozsądniej rozmawiać, odgarnęła włosy do tyłu. - A pan śpiewa?

- Pod prysznicem. - Znów pokazał mu się dołek w policzku na widok rozchichotanych bliźniaków. - Żadnych uwag, brzdące.

- Naprawdę śpiewa, i to głośno - powiedział Zek, nie przejmując się pogroźką ojca. - A wtedy Zark zaczyna wyć.

- To musi być całkiem niezły występ. - Nell podrapała za uszami rozradowanego psa. Ten zamerdzał ogonem, a potem jakiś wewnętrzny impuls kazał mu się obrócić i pognać w górę zbocza.

- To dla pani, panno Davis, proszę. - Obaj chłopcy podali jej ciasteczka zawinięte w serwetki i pobiegli w ślad za psem.

- Raczej nie dadzą rady - mruknęła, obserwując, jak ścigają się z czworonogiem.

- Prawie pobili rekord. Lubią panią.

- Daję się lubić. - Uśmiechnęła się i popatrzyła na niego, lecz w jego oczach nie dostrzegła ani uśmiechu, ani w ogóle żadnej reakcji. - Na ogół. Jeśli zostawi mi pan ten kanister, to go napelnię na stacji.

- Nie ma sprawy. - Mac zakręcił korek od baku i zabrał pusty kanister. - Jesteśmy tu mili i uprzejmi... znaczy... tu w Taylor's Grove. Na ogół.

- To proszę mnie powiadomić, kiedy skończy się mój okres próbny. - Nachyliła się do wnętrza auta, by umieścić ciasteczka na fotelu.

Mac z udręką musiał patrzeć na jej opięte z tyłu dżinsy. Pachniała czymś delikatnie aromatycznym i ten zapach zakręcił mu w głowie bardziej niż opary benzyny.

- Nie miałem niczego takiego na myśli. Wysunęła się z powrotem z samochodu. Oblizła czekoladę z palca i wyprostowała się.

- Może i nie, w każdym razie dziękuję za pomoc. - Uśmiechnęła się promiennie, otwierając drzwiczki. - I za czekoladowe ciasteczka.

- Zawsze chętnie pomogę - usłyszał własne słowa, których wolałby nie mówić.

Usiadła za kierownicą.

- Cholernie chętnie - rzekła z szelmowskim uśmiechem. Przekręciła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik w taki sposób, że Mac aż się skrzywił.

- Mógłbyś wpaść od czasu do czasu na próbę, Mac, zamiast czekać na parking. Nauczyłbyś się czegoś. - Całkiem świadomie przeszła na ty i czekała na jego reakcję.

- Zapnij pas bezpieczeństwa - powiedział, również przechodząc na ty bez okazywania zdziwienia.

- Och, rzeczywiście. - Posłusznie się zapięła. - Po prostu jeszcze nie przywykłam. Pożegnaj ode mnie chłopców.

Ruszyła na pełnym gazie, beztrąsko machając ręką przez okno.

Mac patrzył za nią, dopóki nie zniknęła za zakrętem, po czym powoli rozcierał ściśnięte mięśnie w okolicy żołądka. Coś jest w tej kobiecie, pomyślał. Coś, co sprawiło, że poczuł się tak, jakby tajał po niezmiernie długiej hibernacji.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jeszcze pół godziny, pomyślał Mac, i skończę tapetowanie największej sypialni. Spojrzał na zegarek. Dzieci wróciły już ze szkoły. Ale dziś przychodzi pani Hollis i zostanie aż do piątej. Jest więc sporo czasu, żeby przykleić tapetę, umyć się i pojechać do domu. Może zrobi sobie i dzieciom ucztę i przywiezie pizzę?

Nie miał nic przeciwko gotowaniu, ale wciąż nie lubił tracić na to czasu - obmyślać, przyrządzać, a później w dodatku zmywać. Po sześciu latach samotnego rodzicielstwa zaczął w pełni rozumieć, jak ciężko pracowała jego własna matka, tradycyjnie zajmująca się domem.

Przerwał na chwilę klejenie i okiem fachowca rozejrzał się wokół siebie. Rozebrał ściany działowe, postawił inne, a pojedynczą szybę w oknie zastąpił podwójną. Przez dwa bliźniacze lufciki sączyło się słabe światło październikowego dnia.

Teraz ten stary dom miał trzy przestronne sypialnie na piętrze zamiast czterech klitek i zbyt dużego korytarza, które były tu przedtem. W części mieszkalnej powstanie jeszcze łazienka, mieszcząca wannę i osobną kabinę z prysznicem.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dom będzie zrobiony koło świąt, a wystawi się go na sprzedaż lub wynajem w pierwszych dniach nowego roku.

Właściwie należałoby go sprzedać, myślał Mac, gładząc tapetę położoną tego popołudnia. Powinien przewyciężyć tę chęć posiadania, pojawiającą się zawsze, gdy remontował dom.

To było u niego dziedziczne, jak sądził. Już jego ojciec zarabiał na życie, skupując zrujnowane i podupadłe nieruchomości, które odnawiał i wynajmował. Mac również odkrył, że wielką satysfakcję daje posiadanie czegoś, co zrobiło się samemu własnymi rękami.

Na przykład ten stary budynek, gdzie teraz mieszkała Nell. Zastanawiał się, czy ona wie, że jego mury liczą ponad sto pięćdziesiąt lat, a więc to całkiem ładny zabytek.

Ciekaw był, czy znowu zabrakło jej benzyny. I wielu jeszcze rzeczy dotyczących Nell Davis.

A nie powinien, upomniał sam siebie i wziął się z powrotem do tapetowania. Kobiety to same kłopoty. Tak czy inaczej. Jedno spojrzenie na Nell wystarczy, by przewidujący mężczyzna doszedł do wniosku, że nie stanowi ona wyjątku.

Nie skorzystał z jej zaproszenia i nie wpadł do szkoły posłuchać fragmentu próby. Parę razy zamierzał to zrobić, ale zdrowy rozsądek odwiódł go od tego. Była pierwszą od bardzo dawna kobietą, która wywarła na nim wrażenie. Wcale nie chcę się angażować, myślał

ze złością, klejąc brzeg tapety. Nie da rady. Za dużo obowiązków, za mało czasu i - co najważniejsze - dwóch synów, wokół których ogniskuje się jego życie.

Dość pomarzyć o kobiecie i już człowiek robi się nieuważny w robocie, roztargniony i... roznamiętniony. A wdać się w coś z babą, jeszcze gorzej. Bo trzeba znaleźć temat do rozmów i wymyślać rozrywki. Kobieta pragnie, by ją gdzieś zabierać i rozpieszczać. A kiedy już się taką naprawdę pokocha, to zdolna jest złamać ci serce.

Mac nie miał ochoty ponownie wystawiać swego serca na niebezpieczeństwo, a tym bardziej narażać uczuć dzieci.

Nie podzielał tego idiotycznego poglądu, że dzieciom potrzeba kobiecej ręki i matczynej miłości. Matka jego bliźniąt od chwili ich urodzenia mniej była z nimi związana niż byle kotka ze swoimi kociętami. Kobiecość nie daje patentu na macierzyńskie uczucia. Nawet jeśli ktoś jest zdolny urodzić dziecko, to nie znaczy, że od razu będzie umiał się nim opiekować.

Mac przerwał pracę i zaklął. Przez całe lata nie myślał o Angie. A raczej starał się mało myśleć. Kiedy próbował, okazywało się, że ciągle go to boli, jak źle zagojona rana. Pozwolił małej blondynce zawrócić sobie w głowie i ma za swoje.

Zirytowany przykleił ostatnią rolkę tapety. Należy skupić się na pracy, a nie rozmyślać o kobietach. Postanowił dokończyć to, co zaczął, i zszedł na dół po schodach. Więcej rolek miał w ciężarówce.

Światło na dworze nikło w zapadającym zmierzchu. Dni są już krótsze, pomyślał. Coraz mniej czasu.

Pokonywał ostatnie stopnie, kiedy ją zauważył. Stała w samym kącie podwórka i z lekkim uśmiechem oglądała dom. Była w zamszowym beżowym zakiecie i wytartych dżinsach. W uszach połyskiwały jakieś kolczyki. Przez ramię miała przewieszoną teczkę, z wyglądu bardzo zużytą.

- O, cześć! - W jej oczach błysnęło zdziwienie, które natychmiast obudziło w nim czujność. - Czy to jedna z twoich nieruchomości?

- Owszem. - Wyminął Nell po drodze do ciężarówki. Pożałował, że w tym momencie nie wstrzymał oddechu. Znowu pachniała delikatnie i uwodzicielsko.

- Stoję i podziwiam. Piękna budowla. Wygląda solidnie i bezpiecznie wśród tych wszystkich drzew. - Głęboko odetchnęła. W powietrzu czuło się już jesień. - Zapowiada się piękna noc.

- Możliwe. - Wziął swoją rolkę, a potem tkwił w miejscu, obracając ją w rękach. - Czy znów zabrakło ci benzyny?

- Nie. - Roześmiała się sama z siebie. - Lubię spacerować po mieście o zmierzchu. A właściwie to szłam do twojej siostry. Mieszka parę domów stąd, prawda?

Zmrużył oczy. Nie podobało mu się, że kobieta, o której zbyt wiele już myślał, zadaje się z jego siostrą.

- Zgadza się. Dlaczego?

- Dlaczego? - Zwróciła uwagę na jego ręce. Było w nich coś. Mocne, twarde. Duże. Poczula jakiś przyjemny dreszcz. - Co... dlaczego?

- Dlaczego idziesz do Miry?

- Och, mam trochę nut, które mogłyby zainteresować Kim.

- Jak to? - Oparł się o samochód i patrzył na nią. Uznał, że jej uśmiech jest stanowczo zbyt miły. Zbyt pociągający. - Czy chodzenie po domach z nutami należy do twoich obowiązków?

- Należy do przyjemności. - Odgarnęła włosy targane leciutkim wiatrem. - Żadna praca nie jest warta wysiłku ani zachodu, jeśli cię to choć trochę nie bawi. - Obejrzała się na dom. - Ty też przecież masz z tego radość, no nie? Bierzesz coś bez wyrazu i przerabiasz po swojemu.

Już zaczął jakąś zdawkową odpowiedź, gdy uświadomił sobie, że Nell trafiła w samo sedno.

- Tak. Choć jak zdejmiesz sufit i leci ci deszcz na głowę, to nie zawsze wydaje się to zabawne.

- Uśmiechnął się leciutko. - Ale jednak jest.

- Pozwolisz mi obejrzeć? - Przechyliła głowę.

- Czy raczej należysz do tych wrażliwych artystów, co nie chcą pokazywać swego dzieła, póki nie będzie zupełnie gotowe?

- Tam nie ma wiele do oglądania. - Wzruszył ramionami. - Lecz oczywiście możesz wejść, jeśli ci zależy.

- Dziękuję. - Zaczęła iść, oglądając się za siebie, bo Mac został przy ciężarówce. - Nie pokażesz mi?

Znów wzruszył ramionami i poszedł za nią.

- Czy mój apartament też ty urządziłaś?

- Tak.

- Piękna robota. Wygląda jak wiśnia.

- Bo to jest wiśnia - rzekł nieco zdziwiony.

- Podobają mi się te zaokrąglone narożniki. Dodają wszystkiemu miękkości. Bierzesz dekoratora do kolorów czy sam je wybierasz?

- Sam wybieram. - Otworzył jej drzwi. - Coś nie tak?

- Ależ skąd, kolorystyka kuchni naprawdę jest bardzo ładna. Te jasnoniebieskie szafki i ta złamana błękitem czerwień podłogi. O, co za bajeczne schody! - Przebiegła przez niewykończony salon i stanęła tuż przy schodach.

Mac nieźle napracował się nad nimi. Musiał wyjąć stare i zastąpić nowymi z ciemnego orzecha. Zakręcił je i poszerzył na dole, tak że prawie wpływały do salonu. Były bez wątpienia przedmiotem jego dumy i radości.

- Ty to zrobiłeś? - mruknęła, przeciągając ręką po wygiętej w łuk poręczy.

- Stare były zniszczone i rozeschnięte. Należało je wymienić.

- Muszę je wypróbować. - Wbiegła na górę i tam odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Nie trzeszczą. Porządna robota, ale niestety nie daje pola do sentymentalnych wspomnień.

- Sentymentalnych wspomnień? Nie rozumiem...

- No, wiesz, chodzi o te późniejsze wspomnienia domu z dzieciństwa, jak się człowiek skradał na dół i znał każdy stopień, wiedział, który należy ominąć, bo trzaśnie i obudzi mamę.

W tym momencie Mac poczuł, że ma kłopot z oddechem.

- Są z orzecha - powiedział tylko, gdyż nie był w stanie myśleć o niczym innym.

- I tak są piękne. Ktokolwiek tu zamieszka, powinien mieć dzieci.

Niežnośnie zaschło mu w ustach.

- Dlaczego? - wykrztusił.

- Dlatego. - Bezceremonialnie usiadła na poręczy i zaczęła zjeżdżać. Ręce Maca same się rozłożyły, kiedy ześlizgnęła się na dół. - Są wymarzone do zjeżdżania - powiedziała, łapiąc oddech i śmiejąc się radośnie.

Śmiała się, pochylając głowę do jego twarzy. Coś w niej drgnęło w środku, gdy ich oczy się spotkały. I powrócił jakiś niepokój, którego nie mogła opanować. Zmieszana odchrząknęła, by cokolwiek powiedzieć.

- Ciągłe zjawiasz się niespodziewanie - mruknął Mac. Powinien już ją puścić, ale ręce nie chciały słuchać głowy.

- To małe miasteczko.

W odpowiedzi tylko potrząsnął głową. Jego dłonie obejmowały ją teraz w talii i najwyraźniej zamierzały powędrować w górę pleców. Zdawało mu się, że zadrzała... ale to równie dobrze mógł drzeć on sam.

- Nie mam czasu na kobiety - oznajmił, próbując głównie siebie przekonać.

- W porządku. - Usiłowała przełknąć ślinę, lecz coś jakby uwięzło jej w gardle. - Ja też jestem bardzo zajęta. - Powoli odetchnęła. Te ręce głaszczące ją po plecach sprawiły, że osłabła. - Wcale mnie to nie interesuje. Miałam naprawdę zły rok, także w sprawach uczuciowych. Myślę...

Bardzo trudno było myśleć. Jego oczy miały taki piękny niebieskawy odcień i tak intensywnie się w nią wpatrywały. Nie bardzo wiedziała, co zobaczył ani czego szukał, za to czuła, że jej kolana prawie zmiękły.

- Myślę - zaczęła ponownie - że ulży nam obojgu, jeśli szybko i uczciwie się zdecydujesz, czy zamierzasz mnie pocałować, czy też nie. Nie wytrzymam tego dłużej.

On też nie mógł wytrzymać. Bez słowa skorzystał z okazji. We wszystkim był sumienny i rozważny. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami i gdy opuszczał głowę, i gdy poczuł tchnienie jej ust, i gdy leciutko westchnęła.

Pociemniało jej w oczach. Jego pocałunek był miękki, pewny i przerażająco cierpliwy. Z nikim nigdy tak się nie całowała. Nawet nie wiedziała, że ktokolwiek tak potrafi. Powoli, dojrzałe i marzycielsko. Prawie się zachwiała, kiedy delikatnie pieścił jej wargi.

Zadrzała, jęknęła i poddała się ekstazie.

Mac pojął, że może dla niej stracić głowę. Nell miała w sobie wielką moc. Ten smak, zapach, tkliwość były porażające. Całym swym drobnym, zgrabnym ciałem przyłgnęła do niego. Jej ręce kurczowo ścisnęły mu ramiona. Za to głowę bezwładnie odchyliła do tyłu w jakimś geście poddania, od którego krew się w nim burzyła.

Pragnął jej dotykać. Jego niecierpliwe dłonie pokonywały materiał warstwa po warstwie, aż odnalazły jasną gładką skórę. By wypróbować i siebie, i Nell, wsunął palce pod jej sweter, gdzie gładził miękkie, ciepłe ciało na plecach, a tymczasem usta trwały w tym długim, powolnym pocałunku.

Wyobrażał ją sobie leżącą na podłodze, na kocu, na trawie. Oczami duszy widział siebie wpatzonego w jej twarz, kiedy razem zatapiają się w rozkoszy, marzył, by poczuć na sobie jej szelmowskie, szczere i oddane spojrzenie.

To trwa za długo, stwierdził, gdy mięśnie mu zeszywniały, a w płucach zabrakło tchu. Po prostu za długo. Stąd te głupie rojenia.

Lecz nie bardzo w to wierzył. Więc się nieco przeraził.

Niepewnym ruchem podniósł głowę i odsunął do tyłu. Nawet gdyby chciał, nie mógł się wycofać, bo ona opierała się o niego, a jej głowa spoczywała mu na piersi. Niezdolny do jakiegokolwiek sprzeciwu błędził palcami po jej włosach.

- Kręci mi się w głowie - szepnęła. - Co to było?

- Pocałunek, nic więcej. - Sam pragnąłby tak myśleć. Lżej by mu się zrobiło na sercu.

- Chyba zobaczyłam gwiazdy. - Wciąż oszołomiona przesunęła się, chcąc na niego popatrzeć. Wykrzywiła usta w uśmiechu, ale jej oczy się nie śmiały. - To dla mnie nowość.

Obawiał się, że jeśli szybko tego nie zakończy, znów ją pocałuje. Postawił ją mocno na podłodze.

- To niczego nie zmienia.

- A miało się coś zmienić?

Zrobiło się prawie ciemno. Lepiej, że nie mógł jej widzieć wyraźnie w półmroku.

- Nie mam czasu na kobiety. I nie mam chęci czeokolwiek zaczynać.

- Ach tak. - Skąd ten ból, zastanawiała się, powstrzymując siłą dłoń, by nie rozcierała okolicy serca. - To był całkiem niezły pocałunek, jak na kogoś niezainteresowanego kobietami. - Schyliła się po teczkę, którą rzuciła, gdy wbiegała na schody. - Zejdę ci z drogi. Nie chciałabym, abyś tracił swój cenny czas z mojego powodu.

- Nie musisz się zaraz obrażać.

- Obrażać! - Z zaciśniętymi zębami dźgnęła go palcem w pierś. - Daleka jestem od tego, przyjacielu, i postaram się o tym zapomnieć. Ależ ty jesteś zarozumiały, Mac. Czy sądzisz, że przyszedłam tu, by cię uwieść?

- Nie wiem, dlaczego przyszedłam.

- W porządku, więcej nie przyjdę. - Zawiesiła teczkę na ramieniu i zuchwale uniosła podbródek. - Nikt cię nie zmuszał, ręk ci nie wykręcał.

W duszy Maca pożądanie mieszało się z poczuciem winy.

- Ciebie też.

- Wcale się nie chcę usprawiedliwiać. Ale wiesz, nie mogę sobie wyobrazić, jak taki nieczuły głaz mógł wychować dwójkę uroczych, przemiłych dzieci.

- Chłopców w to nie mieszaj - rzekł ostrym tonem.

Zmrużyła ze złością oczy.

- Och, więc i na nich zastawiłam sidła, co? Ty idioto! - Ruszyła gwałtownie do drzwi, obracając się w ostatniej chwili, by go ostatecznie pognać. - Mam nadzieję, że nie odziedziczyli po tobie tego spaczzonego poglądu na kobiety! - Trzasnęła drzwiami dostatecznie mocno, by jej gniew odbił się echem po całym domu.

Naburmuszony Mac wsunął ręce do kieszeni. Do diabła, wcale nie miał spaczzonego poglądu. A dzieci to jego sprawa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nell stanęła na środku sceny i uniosła ręce. Czekala, aż wszyscy uczniowie skupią wzrok na niej, a potem już mogą zacząć śpiewać.

Niewiele rzeczy cieszyło ją bardziej od młodych głosów rozbrzmiewających w chóralnej pieśni. Podczas dyrygowania chłoneła te dźwięki z wyostrzoną uwagą. Nie umiała powstrzymać uśmiechu. Dzieci wykonywały właśnie utwór „Święty Mikołaj przybywa do miasta” w nowoczesnej wersji zespołu Bruce'a Springsteena, co było odstępstwem od kanonu tradycyjnych kolęd, prezentowanych rokrocznie przez poprzedniego nauczyciela.

Widziała błysk radości w ich oczach, gdy złapali wspólny rytm. Zaakcentujcie to mocniej, pomyślała, zmuszając sekcję basów, która włączyła się teraz, do większego wysiłku. Niech wam to sprawia radość. Teraz soprany, wyżej i czystiej...

I alty... Tenory... Basy...

Uśmiechnęła się promiennie, by wyrazić zadowolenie z postępów chóru.

- Dobra robota - oznajmiła. - Tenory... następnym razem proszę trochę głośniej, dobrze? Chyba nie chcecie, chłopaki, żeby was basy zagłuszyły. Holly, znowu opuszczasz głowę. Jest jeszcze trochę czasu, więc powtórzmy sobie „Na święta wróć do domu”. Kim?

Kim próbowała nie zwracać uwagi na lekki ucisk w sercu i trącający ją łokieć Holly. Wystąpiła ze swojego miejsca w drugim rzędzie i stanęła przed mikrofonem z miną, jakby to był pluton egzekucyjny.

- Dobrze jest się uśmiechać, wiesz? - pouczyła ją łagodnie Nell. - I pamiętaj o oddechu. Śpiewaj aż do końca i nie zapomnij ze zrozumieniem podawać tekstu. Tracy! - Wskazała ręką w stronę pianistki, którą wyciągnęła z drugiej klasy muzycznej.

Pieśń zaczynała się cicho. Za pomocą rąk, twarzy i oczu Nell dała sygnał do łagodnego harmonijnego akompaniamentu. Potem włączyła się Kim. Z początku zbyt nieśmiało. Nell wiedziała, że nad tymi nerwami na wstępie trzeba będzie jeszcze popracować z Kim. Ale dziewczyna miała talent i uczucie. Po paru taktach tak była skupiona na pieśni, że przestała się denerwować. Całkiem dobrze jej wychodzi, stwierdziła z zadowoleniem Nell. Kim sporo się przez ostatnie tygodnie nauczyła. Ta sentymentalna pieśń pasowała do jej osobowości i wyglądu. Nell wprowadziła chór, trzymając go w tle. Podkreślał on teraz bogaty, romantyczny głos Kim. Oczy Nell zwilgotniały i wtedy pomyślała sobie, że jeśli wykonają to dobrze podczas koncertu, to żadne oko na sali nie pozostanie suche.

- Prześlicznie - rzekła Nell, gdy ucichły ostatnie akordy. - Naprawdę prześlicznie. Wy, chłopcy, zrobiliście wielkie postępy w ostatnim czasie. Strasznie jestem z was dumna. A teraz możecie się rozejść, życzę udanego weekendu.

Kiedy Nell podeszła do pianina, aby zebrać nuty, za jej plecami zaczęły się rozmowy.

- Dziś śpiewałaś naprawdę dobrze - powiedziała Holly do Kim.

- Serio?

- Serio. Brad też tak uważa. - Holly ostrożnie spojrzała na przyjaciółkę wkładającą szkolny sweter.

- On nawet nie wie o moim istnieniu.

- Wie, wie. Wpatrywał się w ciebie przez cały czas. Widziałam, bo ja patrzyłam na niego. - Holly westchnęła. - Gdybym wyglądała jak panna Davis, to może patrzyłby wtedy na mnie.

Kim roześmiała się, ale spod spuszczonego rzęsu rzuciła okiem na Brada.

- Ona jest naprawdę cudowna. Jak ona mówi i tłumaczy. Pan Striker zawsze się złościł.

- Bo był złośliwym. No to na razie, co?

- Tak. - Więcej Kim nie zdołała powiedzieć, ponieważ wydało jej się, i to całkiem wyraźnie, że Brad idzie do niej. I patrzy na nią.

- Cześć. - Błysnął uśmiechem, ukazując białe zęby z jednym krzywym na przedzie. Na ten widok serce Kim zabiło niespokojnie. - Byłaś naprawdę dobra.

- Dziękuję. - Płatał się jej język. To przecież Brad. Z najstarszej klasy. Kapitan drużyny futbolowej. Przewodniczący samorządu. I w dodatku blondyn o zielonych oczach.

- Panna Davis jest super, no nie?

- Taaak - odrzekła, uświadamiając sobie z przerażeniem, że nie wolno jej na tym skończyć rozmowy. - Dziś wieczorem przyjdzie do nas na przyjęcie. Mama zaprosiła kilka osób.

- Tylko starzy, co?

- Nie. Wpadnie Holly i jeszcze trochę ludzi. - Serce Kim łomotało, lecz w końcu zebrała się na odwagę. - Możesz zajść, jeśli chcesz.

- Byłoby ekstra. O której?

Udało się jej zamknąć usta i przełknąć.

- Och, około ósmej - powiedziała, siłąc się na obojętny ton. - Mieszkam...

- Wiem, gdzie mieszkasz. - Znów się do niej uśmiechnął, a jej serce nieco się uspokoiło. - Czy ty może chodzisz jeszcze z Chuckiem?

- Chuck? - A kim dla niej był Chuck? - Spotykaliśmy się trochę, ale latem jak gdyby zerwaliśmy.

- Świetnie. To na razie.

Odszedł wolnym krokiem do grupy kolegów schodzących ze sceny.

- To bardzo fajny gość - orzekła Nell zza pleców Kim.

- Tak - westchnęła Kim z błyskiem w oku.

- Kimmy ma chłopaka... - zaśpiewał Zek ciekawym, denerwującym głosem, którym zwracał się zazwyczaj do maluchów albo... do swoich kuzynek.

- Zamknij się, pędraku.

Tylko zachichotał i podśpiewując ten refren, zaczął tańczyć na scenie. Nell dostrzegła w oczach Kim mordercze zamiary, więc szybko postarała się coś wymyślić.

- Zdaje mi się, chłopaki, że nie macie dziś ochoty poćwiczyć „Jingle Bells”?

- Mamy! - Zak przestał wirować z bratem po scenie i rzucił się do pianina. - Wiem, które to są - obwieścił, rozgarniając bezceremonialnie równiutki stosik nut Nell. - Mogę poszukać.

- Ja znajdę! - włączył się Zek, ale brat już triumfalnie wymachiwał nutami.

- Trafiło ci się. - Nell usiadła przy pianinie, a bliźniacy stanęli z obu stron. Zagrała z uczuciem pierwszy mocny akord, po którym zachichotali.

- Proszę, muzyka to poważna sprawa. I raz, i dwa i...

Chłopcy w tej chwili naprawdę to śpiewali, a nie puszczeli, jak za pierwszym razem, gdy ich poprosiła, by spróbowali. Braki w interpretacji nadrabiali entuzjazmem. Z pełną swobodą.

Nawet Kim się uśmiechnęła, zanim skończyli.

- A teraz niech pani coś zaśpiewa, panno Davis.

- Zak posłał jej wymowne spojrzenie. - Proszę.

- Wasz tata pewnie już czeka.

- Tylko jedną piosenkę.

- Tylko jedną - wtórował Zek.

W ciągu tych krótkich paru tygodni tak ich polubiła, że nie była w stanie długo opierać się ich prośbom.

- Ale tylko jedną - zgodziła się i sięgnęła do rozrzuconych przez chłopców nut. - Wybrałam coś, co się wam spodoba. Założę się, że widzieliście „Małą syrenkę”?

- Wiele razy - ucieszył się Zek. - Dostaliśmy kasetę.

- No więc zgadniecie, co to jest. - Zagrała początek piosenki „Część twojego świata”.

Mac, stojąc na wietrze, kulił ramiona i w końcu ruszył w stronę szkoły. Miał szczerze dosyć tego wyczekiwania na parkingu. Inne dzieci wyszły już ponad dziesięć minut temu. Tyle dziś jeszcze spraw, do cholery. Najgorsze, że musi wpaść wieczorem na przyjęcie u Miry.

Nienawidził przyjęć.

Zagniewany maszerował korytarzem. I wtedy ją usłyszał. Nie mógł rozpoznać słów dobiegających z zamkniętej sali. Ale rozpoznał głos - bogaty i głęboki. Jak whisky z lodem - myślał. Zmysłowy, uwodzicielski. Sexy.

Otworzył drzwi. Musiał. I ten głos przetoczył się falą ponad nim.

Piosenka dla dzieci. Teraz poznał. To z filmu o syrence, za którym chłopcy wciąż szaleli. Żaden normalny mężczyzna - wmawiał sobie - nie powinien dać się omotać kobiecie śpiewającej dziecienną piosenkę.

Jednak on nie czuł się całkiem normalnie od czasu, gdy popełnił wielki błąd i ją pocałował.

Wiedział też, że gdyby była teraz sama, podszedłby prosto do pianina i zrobił to jeszcze raz.

Ale nie była sama. Za nią stała Kim, a jego dzieci po bokach. Śpiewając, popatrywała chwilami w ich stronę i uśmiechała się. Zak nachylał się do niej i przekrzywiał głowę w taki sposób, jak to robił zwykle, gdy wdrapywał mu się na kolana.

Na ten widok coś poruszyło mu się w środku. Coś bolesnego i przerażającego. A zarazem bardzo, bardzo słodkiego.

Mac - wstrząśnięty - schował ręce do kieszeni i zacisnął je w pięści. Trzeba z tym skończyć. Niezależnie, co się z nim stanie, trzeba to natychmiast skończyć.

Wziął głęboki oddech, lecz właśnie muzyka umilkła. Zdawało mu się - choć z całą pewnością było to tylko głupie przywidzenie - że coś czarodziejskiego jeszcze unosi się w ciszy.

- Jesteśmy spóźnieni! - zawołał, zdecydowany przerwać ten czar.

Cztery głowy odwróciły się w jego stronę. Bliźniacy zaczęli podskakiwać na ławce.

- Tato! Hej, tato! Umiemy naprawdę dobrze zaśpiewać „Jingle Bells”! Chcesz posłuchać?

- Nie mogę. - Próbował się uśmiechnąć, by złagodzić ten zawód Zakowi, którego buzia wygięła się w podkówkę. - Naprawdę jestem spóźniony, kochani.

- Przepraszam, wujku Mac. - Kim nakładała palto. - Jakoś straciliśmy poczucie czasu.

Kiedy Mac niepewnie się kręcił, Nell pochyliła się i coś szepnęła chłopcom. Coś, po czym u Zaka znów pokazał się uśmiech, a z twarzy Zeka zniknął wyraz buntu. Obaj objęli ją i pocałowali, a później zbiegli ze sceny po palta.

- Do widzenia, panno Davis! Do widzenia!

- Dziękuję, panno Davis - dodała Kim. - Do zobaczenia.

Nell zanuciła i wstała, aby poskładać papiery. Przez całą długą drogę do wyjścia z sali Mac odczuwał to lodowate zachowanie Nell.

- Ach, bym zapomniał... Dziękuję, że pani ich zabawiła! - zawołał przy drzwiach.

Nell uniosła głowę. Widział ją wyraźnie w światłach sceny. Tak wyraźnie, że zanim się znów pochyliła, mógł dostrzec uniesione brwi i chłodny wyraz ust bez uśmiechu.

I bardzo dobrze, powiedział sobie, jadąc z chłopcami do domu. Wcale nie miał ochoty z nią rozmawiać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie powinna go tak totalnie ignorować. Mac napił się jabłecznika, który wmusił w niego szwagier, i urażony kontemplował plecy Nell.

Od godziny nie odwróciła się w jego stronę.

Do diabła z jej plecami, myślał, z roztargnieniem słuchając, co burmistrz głądził koło jego ucha. Powyżej tych pleców płynną linią rysowały się proste i gładkie ramiona. Nell wyglądała bardzo powabnie w cienkim żakiecie koloru gruszki, nałożonym na dopasowaną krótką sukienkę.

Miała wspaniałe nogi. Nie sądził, żeby widział je już wcześniej. Musiałby to zapamiętać. Przedtem, jak na siebie wpadali, zawsze była w spodniach. Dziś wieczorem włożyła sukienkę chyba tylko po to, żeby go dręczyć.

Mac uciął w połowie zdania rozmowę z burmistrzem i podszedł do Nell.

- Wiesz, to jest głupie.

Nell podniosła wzrok. Właśnie była w trakcie miłej konwersacji z przyjaciółmi Miry, a zarazem niezłe bawiło ją to unikanie Maca.

- Przepraszam?

- To po prostu głupie - powtórzył.

- Zbieranie pieniędzy na zajęcia artystyczne w publicznej szkole jest głupie? - spytała, doskonale wiedząc, że nie to miał na myśli.

- Co? Nie. Do diabła, wiesz, o co mi chodzi.

- Przepraszam. - Zaczęła się wycofywać w stronę grupki osób stojących w pobliżu, ale złapał ją za ramię i popchnął na bok.

- Chcesz wywołać awanturę w domu siostry? - wycodziła Nell przez zęby.

- Nie. - Torował sobie drogę wśród gości, idąc wokół stołu w jadalni i przez drzwi do kuchni. Tam jego siostra uzupełniała właśnie tacę z kanapkami.

- Zostaw nas samych na chwilę - rozkazał Mirze.

- Widzisz przecież, że jestem zajęta, Mac.

- Rozkojarzona Mira przygładziła dłonią swoje gładkie, krótko ostrzyżone włosy. - Nie mógłbyś poszukać Dave'a i powiedzieć mu, że jabłecznik się kończy? - Kwaśno uśmiechnęła się do Nell. - Myślałam, że jestem lepiej zorganizowana.

- Zostaw nas na minutę - powtórzył Mac. Mira parsknęła niecierpliwie, zmarszczyła brwi, lecz zaraz złagodniała.

- Dobrze, dobrze - mruknęła rozbawiona i wyraźnie zadowolona. - Już się stąd wynoszę. Muszę rzucić okiem na tego chłopaka, którym tak zachwyca się Kim. - Zabrała tacę z przekąskami i pożeglowała w stronę drzwi. Zapadła pełna napięcia cisza.

- No więc... - Nell sięgnęła od niechcienia do miseczki po marchewkę. - O co ci chodzi?

- Nie rozumiem, dlaczego musisz być tak...

- Tak? - Ugryzła marchewkę. - Co tak?

- Postanowiłaś nie odzywać się do mnie.

- Owszem - odrzekła z uśmiechem.

- To głupie.

Znalazła otwartą butelkę białego wina i nalała trochę do kieliszka. Wypiła łyk i znów się uprzejmie uśmiechnęła.

- Wcale tak nie uważam. Wydaje mi się, że z jakichś niejasnych powodów działam ci na nerwy. A ponieważ bardzo lubię twoją rodzinę, to chyba rozsądnie i uprzejmie będzie trzymać się od ciebie z daleka. - Jeszcze raz się napiła. - Czy to już wszystko? Świetnie się bawię na tym przyjęciu.

- Nie działasz mi na nerwy. Z całą pewnością. - Nie wiedział, co ma zrobić z rękami, więc chwycił marchewkę i przełamał ją na pół. - Przepraszam... za tamto...

- Przepraszasz za to, że mnie pocałowałeś, czy za to, że potem zachowałeś się jak dureń?

Rzucił na stół kawałki marchewki.

- Twarda jesteś, Nell.

- Zaczekaj. - Otworzyła szeroko oczy i przyłożyła sobie dłoń do ucha. - Chyba coś niedobrego dzieje się z moim słuchem. Przez moment zdawało mi się, że właśnie wymówiłeś moje imię... ale chyba się przesłyszałam...

- Przestań... - powiedział, a po namyśle dodał - Nell.

- Co za chwila - rzekła z patosem w głosie i wzniosła toast. - Macauley Taylor naprawdę zaczął ze mną rozmawiać, a w dodatku zwracać się do mnie po imieniu. Jestem tym do głębi poruszona.

- No wiesz! - Zirytowany krążył tam i z powrotem wzdłuż kuchennego blatu. O mało jej nie popchnął ze złością, ale udało mu się w porę powstrzymać gniew. - Po prostu chcę oczyścić atmosferę.

Zafascynowana przypatrywała się jego kamiennej teraz twarzy.

- Masz niezły mechanizm kontrolny w środku. Podziwiam. Choć zastanawiam się, co by się stało, gdybyś go tak często nie włączał.

- Człowiek, który sam wychowuje dwójkę dzieci, musi umieć się kontrolować.

- Domyślam się - mruknęła. - A teraz, jeśli to wszystko...

- Przepraszam cię - odezwał się znowu. Tym razem złagodniała. Nie umiała długo odczuwać urazy.

- W porządku. Po prostu zapomnijmy o tym.

Zostanemy przyjaciółmi - zaproponowała i wyciągnęła dłoń.

Ujął ją za rękę, która była taka bezbronna, taka mała, że znów nie mógł się powstrzymać. Jej oczy też teraz złagodniały. Wielkie wilgotne oczy, jak u łani.

- Wyglądasz... ładnie.

- Dziękuję. Ty również.

- Podoba ci się przyjęcie?

- Lubię tych ludzi. - Poczowała szybkie bicie puls. Ale niech on sobie nie myśli. - Masz wspaniałą siostrę. Tyle w niej energii i ma tyle różnorodnych pomysłów.

- Powinnaś na nią uważać. - Lekko się skrzywił. - Bo cię zaangażuje do jakiegoś swojego projektu.

- Za późno. Już mnie zwerbowała do komitetu sztuki. I zgodziłam się na ochotnika pomóc jej w kampanii na rzecz recyklingu.

- Trzeba umieć się wykręcać.

- Wcale mi to nie przeszkadza. Może nawet mi się spodoba?

Leciutko pogłaskał kciukiem jej rękę.

- Mac, nie zaczynaj tego, czego nie zamierzasz skończyć.

Ściągnął brwi i spojrzał na ich dłonie.

- Myślę o tobie, a nie mam czasu o tobie myśleć. I nie chcę mieć czasu.

Znów zaczynała czuć podniecenie i przeszywały ją dreszcze.

- A czego chcesz?

Utkwił w niej wzrok.

- Mam z tym pewien kłopot.

Drzwi do kuchni nagle się otworzyły i stłoczył się w nich tabun młodzieży przytrzymywany przez Kim, stojącą na przedzie.

Kim osłupiała, ujrawszy, jak wujek puszcza rękę nauczycielki i oboje odskakują od siebie, niby ściskające się nastolatki przyłapano na kanapie w salonie.

- Przepraszam, och, przepraszam! - powiedziała ze śmiechem. - Właśnie mieliśmy... - Zawróciła na pięcie i krzyknęła do tłoczących się za nią młodych ludzi: - Już was tu nie ma!

Wszyscy z chichotem uciekli.

- No, to teraz będzie temat do plotek - skrzywiła się Nell. Mieszkała w miasteczku wystarczająco długo, by wiedzieć, że już jutro od samego rana wszyscy zaczną gadać o Macu Taylorze i Nell Davis. - Słuchaj, dlaczego nie spróbujemy porozmawiać gdzieś w jakimś miłym, spokojnym miejscu?

- Randka? Prosisz mnie o randkę? - spytał zdumiony.

Straciła cierpliwość.

- Tak, o randkę. To nie znaczy, że od razu chcę ci urodzić więcej dzieci. Zresztą może lepiej dajmy sobie z tym spokój.

- Chciałbym cię dostać w swoje ręce - usłyszał Mac własne słowa i za późno już było, aby je cofnąć.

Nell w obronnym geście sięgnęła po wino.

- No cóż, to proste.

- Wcale nie jest proste.

Objęła się ramionami i znów spojrzała na niego.

- Nie - zgodziła się cicho. Zastanawiała się, ile razy w zeszłym tygodniu widziała w myślach twarz Maca. Trudno policzyć. - To nie jest proste.

Uznał, że jednak coś powinien zrobić. Krok do przodu, krok do tyłu. Musi wreszcie zdecydować się na jakiś krok. I zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Nie pamiętam już, kiedy byłem w kinie bez dzieci... Trzeba by chyba kogoś z nimi zostawić.

- W porządku. - Przyglądała mu się niemal tak samo uważnie jak on jej. - Zadzwoń, jeśli się namyślisz. Jutro prawie cały dzień siedzę w domu i sprawdzam prace.

Powrót do randek nie był dla niego najłatwiejszy. Irytowało go własne zdenerwowanie, irytowały uśmieшки i pytania siostrzenicy, gdy zgodziła się pilnować dzieci.

Szedł teraz po zewnętrznych schodach do mieszkania Nell na drugim piętrze i zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby oboje zapomnieli o całej sprawie.

Kiedy znalazł się przed jej drzwiami, zauważył, że ustawiła tam dwie doniczki z chryzantemami. Ładny akcent - pomyślał. Zawsze cenił tych swoich lokatorów, którym zależało na wyglądzie domu i starali się o takie miłe akcenty.

Idą tylko do kina, przypomniał sobie i zapukał. Otworzyła mu zwyczajnie ubrana - w sweter i wąskie spodnie. Ulżyło mu na ten widok. Potem się uśmiechnęła, a jemu zaschło w ustach.

- Cześć. Jesteś bardzo punktualny. Chcesz wejść, aby zobaczyć, jak sobie urządziłam twoje mieszkanie?

- Ono jest twoje, dopóki płacisz czynsz - odrzekł, a ona się wychyliła, wzięła go za rękę i pociągnęła do środka.

Mac zlikwidował w tym apartamencie ściany, dzielące wyjątkowo ciasne pokoje, i stworzył jednolitą przestrzeń, gdzie salon płynnie przechodził w jadalnię, a potem w kuchnię. A Nell umiała to wszystko zagospodarować.

Była tam duża narożna kanapa o śmiałym kwiatowym wzorze, która miał szokować, idealnie pasowała do wnętrza. Pod oknem stał niewielki stolik z wazonem pełnym kolorowych suchych liści. Regały wzdłuż ściany pomieściły książki, wieżę stereo, mały telewizor i rozmaite kobiece drobiazgi.

Jadalnię przekształciła Nell w pokój muzyczny i gabinet do pracy z biurkiem i małym szpinetem. Na stosiku nut leżał flet.

- Niewiele przywiozłam z Nowego Jorku - odezwała się, nakładając żakiet. - Tylko to, na czym naprawdę mi zależało. Najchętniej wynajduję różne rzeczy w sklepach z antykami i na pchlich targach.

- My też tam mnóstwo kupiliśmy - mruknął Mac. - Wygląda to dobrze. I wygodnie.

Rzeczywiście, dobrze to wyglądało. Używany, wyblakły kilim na podłodze, a w oknach stylo - nowe firaneczki.

- Wygoda ma dla mnie duże znaczenie. Jesteś gotowy, możemy iść?

- Jasne.

W sumie te odwiedziny nie okazały się takie trudne.

Poprosił, żeby sama wybrała film. Poszli na komedię. Zdziwiająco dobrze było mu siedzieć w ciemności, razem się śmiać i razem jeść prażoną kukurydzę.

Przez cały seans wielokrotnie myślał tylko o Nell. Że to bardzo atrakcyjna kobieta.

Późniejszy wypad na pizzę uznał za zupełnie naturalną kolej rzeczy. Zdobyli stolik w zatłoczonej pizzerii, gdzie młodzież tłumnie umawiała się wieczorem na randki.

- No więc - rzekła Nell, sadowiąc się wygodnie - jak tam postępy Zeka w dziedzinie ortografii?

- To nieustająca walka. On naprawdę bardzo się stara. Zabawne, Zak potrafi od razu napisać poprawnie prawie wszystko, co mu się powie, a Zek ślęczy nad każdym słowem, jak uczony nad starożytnym pergaminem.

- Za to jest dobry w arytmetyce.

- Tak. - Mac nie był pewien, czy podoba mu się, że ona tyle wie o jego chłopcach. - Obaj bardzo cię lubią.

- Nawzajem się lubimy. - Odgarnęła ręką włosy. - To zabrzmiało dziwnie, ale... - zawahała się, bo nie umiała znaleźć właściwych słów - ale pierwszego dnia na próbie, kiedy rozglądając się, ujrzałam ich, miałam takie uczucie, no... nie wiem, coś w rodzaju: „Och, nareszcie jesteście, ciekawa byłam, kiedy się pojawicie”. Brzmi to dziwnie, bo to było tak, jakbym się ich spodziewała. A teraz, gdy Kim czasem przychodzi sama, odczuwam jakiś zawód.

- Chyba po prostu przyzwyczaiłaś się do nich. To było coś więcej, lecz Nell nie wiedziała, jak mu to wyjaśnić. I nie miała pewności, czy Macowi spodoba się fakt, że po prostu się w nich zakochała.

- Strasznie lubię, jak mi opowiadają o szkole i pokazują zeszyty.

- Pierwsze cenzurki są tuż, tuż. - Uśmiech mu zgasł na twarzy. - Bardziej się denerwuję od nich.

- Zbyt dużą wagę przywiązuje się do stopni. Zdziwiony uniósł brwi.

- I to mówi nauczyciel?

- Indywidualne zdolności, pracowitość, wysiłek, zachowanie. To jest o wiele ważniejsze niż piątka, czwórka czy trójka. Ale mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że Kim ma piątkę ze śpiewu i z historii muzyki.

- Nie żartujesz? - Poczul nagły przyływ dumy. - Przedtem nigdy nie była taka dobra. Najwyżej na czwórkę.

- Pan Striker i ja mamy wyraźnie inne podejście do zajęć.

- Mnie to mówisz! W mieście gadają, że chór w tym roku to dynamit. Jak ci się to udało?

- Dzieciom się udało - odrzekła i w tym momencie właśnie podali pizzę. - Musiały tylko zacząć myśleć i śpiewać jako jeden zespół. Moim zadaniem było ich tego nauczyć. A nie krytykować pana Strikera - dodała, biorąc sobie spory kawałek pizzy. - Mam wrażenie, że on po prostu chciał tylko dotrzeć do emerytury. Jeśli zamierzasz uczyć dzieci, musisz je lubić i szanować. Mnóstwo jest wśród nich talentów, tylko że często są jak surowe diamenty, niektóre zupełnie nieoszlifowane. - Kiedy się roześmiała, zaróżowiły się jej policzki. -

Niestety, część z tych dzieci będzie potem przez resztę życia śpiewać wyłącznie pod prysznicem, za co świat powinien być im wdzięczny.

- Masz takich, którym słoń nadepnął na ucho?

- No... - znów się roześmiała. - Jest kilku. Ale przynajmniej dobrze się bawią. I to się liczy. Mam też kilkoro, jak Kim, którzy naprawdę są wyjątkowi. W przyszłym tygodniu zamierzam posłać ją i jeszcze dwoje uczniów na eliminacje stanowe. A po świątecznym koncercie zrobię przesłuchania do wiosennego musicalu.

- Nie mieliśmy musicalu w naszym liceum już od trzech lat.

- W tym roku będzie. I będzie wspaniały.

- Więc czeka cię sporo pracy.

- Lubię to. I za to mi płacą.

Mac bawił się drugim kawałkiem pizzy.

- Naprawdę lubisz? Tę szkołę, to miasto, i w ogóle to wszystko?

- Dlaczego miałabym nie lubić? To fajna szkoła i fajne miasto.

- Ale nie Manhattan.

- No właśnie.

- Dlaczego stamtąd wyjechałaś? - Skrzywił się. - Przepraszam, to nie mój interes.

- Nie ma sprawy. Miałam zły rok. Chyba już wcześniej ciągle czułam się zmęczona, ale ten ostatni rok, to było po prostu dno. Zlikwidowano moje stanowisko w szkole. Cięcia ekonomiczne. Oszczędności. Przedmioty artystyczne zawsze pierwsze ucierpią. Na dodatek moja współlokatorka wyszła za mąż. Mnie samej nie stać było na czynsz, jeżeli chciałam jednocześnie jadać z jakąś regularnością, więc dałam ogłoszenie, by znaleźć następną. Oglądałam referencje, oceniałam charaktery. - Z westchnieniem oparła brodę o łokieć. - Sądziłam, że jestem ostrożna. Ale trzy tygodnie po tym, jak się nowa lokatorka wprowadziła, zastałam mieszkanie obrobione do czysta.

Mac przestał jeść.

- Okradła cię?

- Ze wszystkiego. Telewizor, odtwarzacz, biżuteria, pieniądze, kolekcja porcelany miśnieńskiej, zbierana od czasu studiów. Strasznie byłam wściekła, a potem załamana. Nie mogłabym tam dalej spokojnie mieszkać. A na koniec chłopak, z którym chodziłam od roku, zaczął mi robić wykłady na temat mojej głupoty i naiwności. Jego zdaniem spotkało mnie to, na co zasłużyłam.

- Miły gość - mruknął Mac. - Doprawdy miałaś w nim oparcie.

- Żebyś wiedział. W każdym razie uważnie się mu przyjrzałam i uznałam, że w jednej sprawie się nie mylił. Dopóki będę razem z nim, na tym samym utartym szlaku, będę dostawać to, na co zasłużyłam. Więc postanowiłam zerwać i zostawić go samego na tym szlaku.

- Dobry wybór.

- Też tak sędzę. - Mac to również dobry wybór, myślała, przypatrując się jego twarzy.

- A co z twoim remontem? Jakie masz dalsze plany?

- Nie wydaje mi się, żebyś się znała na instalacjach hydraulicznych.

Tylko się uśmiechnęła.

- Szybko się uczę.

Było około północy, kiedy zatrzymali się przed jej mieszkaniem. Nie przypuszczał, że wyjdzie z domu na tak długo, ani że przez ponad godzinę będzie jej opowiadał o instalacjach elektrycznych i wodnych, i o przesuwaniu ścian. I że będzie rysował na serwetkach plany remontów.

Jednak udało mu się jakoś przebrnąć przez ten wieczór bez żadnych głupich myśli czy potknięć. Jedno go tylko martwiło. Miał ochotę znów się z nią spotkać.

- Myślę, że był to dobry początek. - Położyła rękę na jego dłoni i pocałowała go w policzek.

- Dziękuję.

- Odprowadzę cię na górę.

Trzymała właśnie dłoń na klamce. Uznała, że będzie bezpieczniej dla nich obojga, jeśli szybko odejdzie.

- Nie musisz. Znam drogę.

- Odprowadzę cię - powtórzył i przyspieszył kroku.

Razem weszli na schody. Lokator z parteru jeszcze się nie położył. Z okna dobiegało mruczenie telewizora i migotała upiornie błękitnawa poświata. Gdy weszli na piętro, słyszeli tylko dźwięk. A nad głowami mieli niezliczone gwiazdy, błyszczące na czystym, ciemnym niebie.

- Jeśli spotkamy się jeszcze raz - zaczął Mac - ludzie zaczną gadać i traktować nas jako... - Nie wiedział, jak zakończyć to zdanie.

- Temat plotek? - podpowiedziała Nell. - Dręczy cię to.

- Nie chcę, żeby dzieci coś sobie pomyślały czy martwiły się... czy cokolwiek... -

Kiedy weszli na jej piętro, popatrzył na nią i znów go wzięło. - To musi być przez twój wygląd.

- Co musi?

- Że muszę myśleć o tobie. - Uznał to za rozsądne wytłumaczenie. Atrakcyjna fizycznie. W końcu nie był z drewna. Ale po prostu ostrożny. - Że muszę myśleć o tym, no wiesz...

Ujął jej twarz w swoje dłonie gestem tak miłym, tak czułym, że całkowicie się rozluźniła. To było tak samo powolne, stateczne i wspaniałe, jak za pierwszym razem. Ten dotyk jego ust, ta wstrząsająca cierpliwość, ta oczywistość tego wszystkiego.

Czy to jest to? - pomyślała. Czy na to właśnie czekała? Czy to jest właśnie on?

Usłyszał, jak delikatnie westchnęła, kiedy się odsunął. Wiedział, że przedłużanie tego byłoby błędem, więc cofnął ręce, zanim mogłyby sięgnąć po więcej.

Nell oblizwała się, jakby chcąc zachować na dłużej smak pocałunku.

- Jesteś w tym niesamowicie dobry, Macauley. Niesamowicie dobry.

- Bo długo pościłem. - Wcale tak nie myślał, niestety. I bardzo się tym martwił. - No, to na razie.

Skinęła lekko, a on ruszył w stronę schodów. Stała jeszcze rozmarzona, opierając się o drzwi, kiedy usłyszała, jak zapala silnik i odjeżdża.

Mogłaby przysiąc, że przez moment w powietrzu dzwoniły gdzieś z dala dzwoneczki sań.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Koniec października oznaczał dla nauczycieli i rodziców okres wywiadówek, dla uczniów zaś długo oczekiwaną przerwę w lekcjach. A dla Maca również ból głowy. Niezłe się gimnastykował, wożąc bliźniaki od siostry do Kim albo do pani Hollis, a pomiędzy tymi jazdami musiał jeszcze wcisnąć wyprawy po materiały budowlane oraz inspekcję remontowanego domu w sprawie instalacji elektrycznej.

Kiedy wykręcił ciężarówką i stanął koło szkolnych budynków, był kłębkim nerwów. Bóg jeden wie, co mu powiedzą o jego dzieciach, jak się zachowywały, skoro nie mógł ich odpowiednio dopilnować. Martwił się, że nie miał dla nich dość czasu, by pomagać im w odrabianiu lekcji, i że nie zadbał o swój udział w emocjonalnym przygotowaniu ich do nauki w pierwszej klasie.

Ponieważ nie zadbał, jego chłopcy zostaną aspołecznymi, niedouczonymi neurotykami.

Zdawał sobie sprawę, jak śmieszne są te obawy, ale nie umiał się opanować i uporczywie tłukły mu się one po głowie.

- Mac! - Na dźwięk własnego imienia odwrócił się i ujrzał wóz siostry. Wychyliła się przez okno i skinęła nań ruchem głowy.

- Gdzie się podziewałeś? Trzy razy do ciebie dzwoniłam.

- Wyciągałem dzieciaki z aresztu - mruknął i skręcił w stronę jej samochodu. - Za chwilę mam wywiadówkę.

- Wiem. Właśnie wracam ze swojej. Pamiętasz? Porównywaliśmy godziny.

- Owszem. Nie mogę się spóźnić.

- Nie spóźnisz się. U mnie mówiono o zbieraniu funduszy na nowe stroje dla chóru. Dzieci od dwunastu lat noszą te same stare togi. Mam nadzieję, że zbierzemy tyle, by wystarczyło na coś ładniejszego.

- Dobra, ja też się dołożę, ale nie mogę się spóźnić. - Właśnie wyobraził sobie młodego nauczyciela pierwszaków, który odnotowuje jego spóźnienie jako kolejną pozycję na rosnącej liście zarzutów wobec trzech panów Taylorów.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że Nell wydaje się czymś zmartwiona.

- Co?

- Zmartwiona - powtórzyła Mira, rada, że w końcu zaczął uważnie jej słuchać. - Wystąpiła z paroma ciekawymi pomysłami na zbieranie funduszy, ale była wyraźnie

rozkojarzona. - Mira uniosła brwi i podejrzliwie spojrzała na brata. - Ty nie zrobiłeś jej żadnej przykrości, co?

- Nie. - Mac opanował się, zanim zaczął przestępować niepewnie z nogi na nogę. - Dlaczego ja?

- Trudno powiedzieć. Ale od czasu waszego spotkania...

- Poszliśmy do kina.

- I na pizzę - dodała Mira. - Paru przyjaciół Kim was zauważyło.

Cholerne małe miasteczka, pomyślał Mac i wsadził ręce do kieszeni.

- Więc co z tego?

- Nic. Pasuje do ciebie. Bardzo ją lubię. A Kim wprost przepada za nią. Więc czuję, że muszę jej jakoś pomóc. Ona naprawdę czymś się gryzie, choć usiłuje to ukryć. Może powinna z tobą porozmawiać?

- Nie zamierzam wtrącać się do jej osobistego życia.

- Tak jak ja to widzę, stanowisz część jej osobistego życia. To na razie. - Ruszyła autem, nie dając mu szansy na odpowiedź.

Mac mruknął coś do siebie i pomaszerował w stronę budynku podstawówki.

Kiedy wychodził stamtąd dwadzieścia minut później, był w o wiele lepszym nastroju. Wcale nie uznano jego dzieci za wyrzutków społeczeństwa z morderczymi skłonnościami. Jeśli chodzi o ścisłość, to nauczyciel chwalił jego synów.

Oczywiście Mac sam dawno o tym wszystkim wiedział.

Może tylko Zek zapominał się od czasu do czasu i rozmawiał na lekcji, a Zak wstydził się nieco podnosić rękę, gdy znał odpowiedź. Ale radzili sobie coraz lepiej.

Zrzuciwszy z siebie ciężar wywiadówki, Mac zmierzał ku wyjściu. Odruchowo skręcił do budynku liceum. Wiedział, że jego zebranie było jednym z ostatnich tego dnia. Nie miał pewności, jak te spotkania wyglądały w liceum, ale parking prawie zupełnie opustoszał. Jednak dostrzegł samochód Nell i postanowił, że nie zaszkodzi do niej zajrzeć.

Dopiero kiedy wszedł, zdał sobie sprawę, że nie wie, jak jej szukać.

Wsunął głowę do auli, ale była pusta. Skoro jednak zabrął już tak daleko, to cofnął się do sekretariatu i spytał, gdzie Nell zwykle ma zajęcia. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami poszedł korytarzem, a potem po schodkach i skręcił na prawo.

Drzwi do klasy Nell były otwarte. Pomieszczenie nie przypominało klas, w jakich sam się uczył. W tej znajdowało się pianino, statywy na nuty, instrumenty, magnetofon. Tylko czysto wytarta tablica wyglądała zwyczajnie i biurko, przy którym Nell właśnie pracowała.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę - jak opadają jej włosy, jak trzyma pióro w palcach, jak jej sweter marszczy się na szyi. Przyszło mu na myśl, że gdyby on miał nauczycielkę o takiej prezencji, to o wiele bardziej interesowałby się muzyką.

- Cześć.

Gniewnym ruchem uniosła głowę. Zdziwił się, dostrzegając cierpienie w jej oczach i zawzięty wyraz twarzy. Na jego widok odetchnęła głębiej i zmusiła się do uśmiechu.

- Cześć, Mac. Witaj w wariatkowie.

- Zdaje się, że masz dużo pracy.

Wszedł do klasy i stanął przy biurku. Leżały na nim papiery, książki, wydruki komputerowe i nuty, a wszystko w porządnym stosikach.

- Koniec okresu, stopnie, plany zajęć, strategia zbierania funduszy, nagłośnienie świątecznego koncertu... i próby naszkicowania budżetu wiosennego musicalu. - Usiłując ukryć swój podły nastrój, oparła się o krzesło. - A jak tobie minął dzień?

- Całkiem znośnie. Właśnie wracam z wywiadówki u wychowawcy moich synów. Idzie im nie najgorzej. Ale ciągle z niepokojem czekam na cenzurki.

- To wspaiałe dzieciaki. Nie masz się o co martwić.

- Kłopoty rosną razem z dziećmi. A ty czym się martwisz? - zapytał, zanim przypomniał sobie, że nie zamierzał się wtrącać.

- A ile masz czasu? - spytała w odpowiedzi.

- Wystarczająco dużo. - Zaciekawiony oparł się o róg biurka. Pojął, że pragnie wygładzić i usunąć tę małą zmarszczkę smutku, zarysowującą się na jej czole. - Ciężki dzień?

Machnęła ręką i wstała od biurka. Gniew zawsze zmuszał ją do ruchu.

- Miewałam lepsze. Czy wiesz, ile wydaje szkoła i miasto na utrzymanie drużyny futbolowej? Czy wszystkich innych drużyn? - Nerwowo zaczęła pukać palcami w pudełko na kasety magnetofonowe, żeby czymś zająć ręce. - A nawet na zespół muzyczny. Tylko chór musi zebrać o każdego dolara.

- I to cię tak złości?

- A nie powinno? - Odwróciła się z rozpalonym wzrokiem. - Nie ma żadnego problemu z wyekwipowaniem futbolowej drużyny, żeby grupa chłopaków wyszła na boisko i tam się popychała, a ja muszę godzinami błagać o głupie osiemset dolarów na strojenie pianina. - Opanowała się i westchnęła.

- Zresztą nie mam nic przeciwko piłce. Nawet ją lubię. Sport w szkole jest ważny.

- Znam faceta, który stroi pianina - rzekł Mac.

- Prawdopodobnie zrobiłby to bez pieniędzy. Nell potarła ręką twarz, a potem zeszywniały kark. „Tata może wszystko załatwić” - przypomniała sobie przechwałki bliźniaków. Masz problem? Zgłoś się do Maca.

- To byłoby wspaniale - odparła i tym razem naprawdę szczerze się uśmiechnęła. - Jeśli przebrnę przez tę papierkową robotę i dostanę zgodę. Nie można przyjąć najmniejszego datku bez tej choleralnej procedury. - Jak zwykle, bardzo ją to irytowało. - Najgorsza w pracy nauczyciela jest biurokracja. Może powinnam była zostać przy śpiewaniu w nocnych klubach.

- Występowałaś w nocnych klubach?

- W poprzednim życiu - mruknęła, machnąwszy ręką. - Żeby zarobić na studia. Wolałam to niż pracę kelnerki. A w ogóle to właściwie nie chodzi mi o sprawy finansowe. Ani nawet o brak zainteresowania ze strony naszej społeczności. Przywykłam do tego.

- Powiesz mi więc, o co chodzi, czy będziesz się tym dalej zadręczać?

- O, gryzę się tym już od pewnego czasu. - Znowu westchnęła i popatrzyła na niego. Wydawał się taki solidny i godny zaufania. - Może to przez moją zbyt miejską mentalność. Po raz pierwszy spotkałam się z typowo wiejskim, tradycyjnym zachowaniem i nie wiem, co z tym zrobić. Znasz Hanka Rohrera?

- Oczywiście. Ma farmę mleczną za miastem przy Old Oak Road. Zdaje mi się, że jego najstarszy syn jest w klasie razem z Kim.

- Tak, Hank - junior. To jeden z moich uczniów, wspaniały baryton. Bardzo interesuje się muzyką. Nawet sam komponuje.

- Co ty powiesz? To świetnie.

- Ty tak uważasz, prawda? - Nell odgarnęła włosy do tyłu i podeszła do biurka, aby poprawić i tak porządnie już poukładane papiery. - Poprosiłam jego rodziców dziś rano do szkoły, bo ich syn wycofał się ze stanowych eliminacji, które odbędą się w ten weekend. Wiem, że chłopak ma tam bardzo duże szanse i chciałam omówić z nimi sprawę muzycznego stypendium. Kiedy powiedziałam im, jak bardzo jest on utalentowany, prosząc, żeby wpłynęli na zmianę jego decyzji, ojciec zareagował tak, jakbym go ciężko obraziła. Aż pobladł z wrażenia. - W jej głosie pojawiła się gorycz pomieszana z gniewem. - Powiedział, że żaden z jego synów nie będzie tracił czasu na śpiewanie czy na muzykę jak jakiś... - Zamilkła na chwilę, zbyt wściekła, by powtórzyć opinię Rohrera o muzykach. - Nawet nie wiedzieli, że syn jest w mojej klasie. Chociaż wybrał sobie ten przedmiot w tym roku. Próbowałam ich uspokoić, tłumaczyłam, że chłopak musi zaliczyć jakiś artystyczny przedmiot, aby dostać promocję. Nic z tego. Stary Rohrer z trudnością strawił myśl o pozostawieniu syna na moich lekcjach. A ile się nagadał, że na co komu śpiewanie do prowadzenia farmy. I faktycznie nie

zamierza puścić chłopca na sobotnie przesłuchania. A ja mam przestać zawracać dziecku głowę niedorzecznymi pomysłami dalszej nauki w college'u.

- Mają czworo dzieci - rzekł powoli Mac. - Więc nauka może być dla nich problemem.

- Gdyby to była jedyna przeszkoda, to powinni się cieszyć, że są szanse na stypendium. - Uderzyła dłonią o dziennik lekcyjny. - A tak, pozostaje problem wybitnie uzdolnionego chłopca, którego marzenia nigdy się nie spełnią, bo rodzice nie zamierzają mu na to pozwolić. Czy raczej ojciec nie pozwala - dodała. - Matka powiedziała może ze dwa słowa podczas tej wizyty.

- Może wpłynie na Hanka, jak będą sami.

- I może przy okazji zmieni on swoją opinię na mój temat.

- Hank nie jest taki. Po prostu ma dość ciasne horyzonty, a zdaje mu się, że wszystko wie. Ale nie jest zły.

- Dziwnie mi to słyszeć po tym, jak nazwał mnie - wzięła głęboki oddech - miastowym nierobem, który trwoni jego ciężko zapracowane podatki. Zależało mi na tym chłopaku - mruknęła Nell i znów usiadła.

- Więc niech ci przestanie na nim zależeć i zacnie na kimś innym. Tak jak na Kim.

- Dziękuję. - Uśmiech Nell trwał krótko. - To trochę pomaga.

- Mam nadzieję. - Przykro mu było widzieć ją bez dawnej energii i optymizmu. - Dzięki tobie Kim uwierzyła w siebie. Zawsze wstydziła się śpiewania i w ogóle wszystkiego. A teraz autentycznie się odblokowała.

Te słowa nieco poprawiły humor Nell. Tym razem jakoś łatwiej jej było o uśmiech.

- Więc powinnam przestać się martwić.

- Nie jest ci z tym do twarzy. - Poglądził ją, ku własnemu i jej zdziwieniu, końcem palca po policzku. - Tylko z uśmiechem.

- Nigdy nie umiem się długo złościć. Bob zwykł to tłumaczyć moją lekkomyślnością.

- Kim, u diabła, jest ten Bob?

- To ten, co go zostawiłam na utartym szlaku.

- Więc niech sobie będzie tam, gdzie jego miejsce.

Roześmiała się.

- Cieszę się, że wpadłeś. Pewnie siedziałabym tu kolejną godzinę z nosem na kwintę.

- To ładny nosek - mruknął Mac i zaczął się zbierać. - Muszę już iść. Trzeba posklejać dzieciom kostiumy na Halloween.

- Może pomóc?

- Ja... - Dzielenie z nią tradycji rodzinnej było kuszące, jak sądził, ale bardzo, za bardzo niebezpieczne. - Nie, mam wszystko przygotowane.

Nell pogodziła się z tą odmową i ukryła rozczarowanie.

- Zajdziesz z nimi w sobotę wieczorem, co? Prosić o cukierki?

- Jasne. To na razie. - Ruszył do wyjścia, ale w drzwiach stanął i się odwrócił.

- Nell?

- Tak?

- Na zmianę pewnych rzeczy potrzeba czasu. Niektórych ludzi zmiany denerwują.

Uniosła głowę.

- Mówisz o rodzinie Rohrerów, Mac?

- Między innymi. To do zobaczenia w sobotę wieczorem.

Nell patrzyła w puste drzwi, a echo jego kroków cichło w korytarzu. Czy uważał, że ona chce go zmienić? A chciała? Oparła się na krzesło, odsuwając od siebie papiery. W tej chwili w żaden sposób nie umiałaby się skupić na pracy.

Zawsze, kiedy w pobliżu był Macauley Taylor, miała trudności z koncentracją. Od kiedy stała się taka wrażliwa na urok tego powolnego, sumiennego, małomównego typu? Chyba od chwili, gdy po raz pierwszy wszedł do auli, by zabrać Kim i bliźniaków - przyznała się sama przed sobą.

Czyżby zakochała się od pierwszego wejrzenia? Była zbyt inteligentna i doświadczona, żeby wierzyć w coś takiego. I za mądra, żeby pozwolić sobie na miłość do faceta, który nie odwzajemnia jej uczuć. Albo, co gorsza, nie chce odwzajemniać.

Jego czułość i poświęcenie dla dzieci nie miały tu nic do rzeczy. Jak również to, że był przystojny, silny i interesujący. Nie zamierzała przejmować się tym, że kiedy z nim jest czy o nim myśli, zaczyna tęsknić. Za domem, za rodziną, za wspólnym śmiechem w kuchni i za pełnymi namiętności nocami.

Westchnęła głęboko, bo jednak się przejmowała. Trudno się nie przejmować kobiecie, którą od zakochania dzieli tylko jeden krok.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W połowie listopada wiatr ogołocił drzewa z liści. Dla Nell i ta pora roku miała swoje piękno. Ciemne nagie gałęzie, szeleszczące rdzawe liście wzdłuż krawężników, przymrozek błyszczący diamentowym szronem na trawie.

Przyłapała się na tym, że stale wygląda przez okno, wypatrując śniegu, jak dziecko - wakacji.

Cudownie jest spodziewać się zimy i wspominać jesień. Nell często wracała myślą do nocy Halloween i do wszystkich tych dzieci, które odwiedziły ją poprzebierane za piratów czy księżniczki. Zek i Zak strasznie się śmiali, gdy udawała, że ich nie poznaje w kosmicznych kostiumach wyszykowanych przez Maca.

Wspominała też koncert country, na który zabrał ją Mac, czy radość, kiedy w zeszłym tygodniu wpadła na niego i chłopców w supermarkecie. Wszyscy wybrali się tam, by zawnoczyć zrobić gwiazdkowe zakupy.

Teraz, przechodząc koło remontowanego domu Maca, znów o nim myślała. Z przyjemnością patrzyła wtedy w sklepie, jak starannie wybierał prezent dla Kim. Macauley Taylor nie dawał żadnych nieprzemysłanych podarków tym, o których się troszczył. Musiały być we właściwym kolorze i odpowiedniej jakości.

Zaczęła wierzyć, że wszystko, co go otacza, jest właśnie takie.

Minęła dom, rozkoszując się zimnym powietrzem wieczoru. Była w świetnym nastroju. Tego popołudnia z dumą obwieściła, że dwoje jej uczniów będzie śpiewało w chórze stanowym.

Jednak mi na tym zależało, pomyślała Nell, przymykając oczy z zadowolenia. Nie na prestiżu, i z całą pewnością nie na przyjemności odbierania gratulacji od dyrektora. Zależało jej na radości, jaką ujrzała w oczach swoich uczniów. Duma rysowała się nie tylko na twarzy Kim i tenora, który razem z nią przeszedł eliminacje. Cieszył się cały chór. Wszyscy dzielili z nimi ten triumf, bo w ciągu ostatnich paru tygodni stali się jednym zespołem. Jej zespół. Jej dzieciaki.

- Zimno tak spacerować.

Nell podskoczyła, a potem sama z siebie się roześmiała, ujrawszy Maca, który wyłonił się z cienia drzewa na podwórzu siostry.

- Boże, ale mnie przestraszyłeś. O mało ci nie powiedziałam: spadaj, frajerze.

- Taylors Grove nie obfituje we frajerów. Idziesz do Miry?

- Właściwie nie, po prostu wyszłam pospacerować. Za dużo mam energii, żeby siedzieć w domu. - Uśmiech rozświetlił jej twarz. - Słyszałeś już dobre nowiny?

- Gratulacje.

- To nie moja zasługa.

- Twoja, twoja. I to duża. - Nie umiał w inny sposób powiedzieć jej, jak jest z niej dumny. Popatrzył w bok na dom, gdzie w oknach jarzyły się światła. - Mira i Kim teraz tam płaczą...

- Płaczą? Ale...

- To nie o taki płacz chodzi. - Kobięce łzy zawsze wprawiały go w zakłopotanie. Wzruszył ramionami. - Wiesz, o inny... o taki z radości.

- Aha. - Oczy Nell też zwilgotniały. - To miłe.

- A Dave krąży rozradowany po mieszkaniu z uśmiechem od ucha do ucha. Właśnie powiadamiał swoich rodziców, gdy się stamtąd wycofywałem. Mira już zadzwoniła do naszych krewnych, jak również do wszystkich przyjaciół w całym kraju.

- No, to duży sukces.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Sam wykonałem kilka telefonów. Chyba jesteś bardzo zadowolona z siebie.

- Żebyś wiedział. Widok dzieci, kiedy im to dziś ogłosiłam... tak, to było najprzyjemniejsze. I doda nowej energii zbierającym fundusze. - Zadrżała, kiedy mocniej powiało zza drzew.

- Przeziębisz się. Odwiozę cię do domu.

- Chętnie skorzystam. Ciągle czekam na śnieg.

Podobnie jak każdy wieśniak od czasów przodka Adama, Mac powąchał powietrze i obejrzał niebo.

- Nie będziesz musiała długo czekać. - Otworzył jej drzwiczki ciężarówki. - Dzieci powyciągały już swoje saneczki.

- Też mogłabym sobie kupić. - Usiadła wygodnie w szoferce. - A gdzie chłopcy?

- Śpią dzisiaj u kolegi - wskazał dom po drugiej stronie ulicy. - Właśnie przed chwilą ich tam odstawiłem.

- Muszą chyba teraz dużo myśleć o Gwiazdce, kiedy zanoszą się na śnieg.

- To zabawne. Zawsze po święcie Halloween zaczynają nudzić mnie listami rzeczy, katalogami zabawek, czy reklamami w telewizji. - Skręcił ciężarówką w kierunku placu. - W tym roku oznajmili mi, że Mikołaj sam się o to zatroszczy. Wiem, że chcieli rowery. - Zmarszczył brwi.

- Ale to wszystko, o czym mówili. Szepczą między sobą o czymś jeszcze, ale milkną na mój widok.

- Na tym polegają święta - spokojnie rzekła Nell. - To najlepszy czas na sekrety i szept. A ty? - uśmiechnęła się. - Co ty chcesz na Gwiazdkę?

- O dwie godziny snu więcej niż normalnie.

- Mógłbyś wymyślić coś lepszego.

- Kiedy dzieci schodzą rano na dół z rozpromienionymi buziami, mam wszystko, czego pragnę. - Zatrzymali się przed jej domem. - A ty wybierasz się na ferie do Nowego Jorku?

- Nie, po co?

- A rodzina?

- Jestem jedynaczką. Rodzice zazwyczaj spędzają wakacje na Karaibach. Wstąpisz na kawę?

To był o wiele ciekawszy pomysł aniżeli powrót do pustego domu.

- Z przyjemnością. Dziękuję. - Kiedy weszli na schody, spróbował znów nawiązać do jej rodziny i planów na ferie. - Czy to znaczy, że tam w dzieciństwie spędzałaś święta? Na Karaibach?

- Nie. Obchodziliśmy je zupełnie tradycyjnie w Filadelfii. Potem poszłam do szkoły w Nowym Jorku, a oni przenieśli się na Florydę. - Otworzyła drzwi i zdjęła palto. - Nie jesteśmy ze sobą szczególnie blisko. Niezbyt im się podobało, że zaczęłam studiować muzykę.

- Och. - Rzucił kurtkę na jej palto, ona tymczasem poszła do kuchni przygotować kawę. - To chyba dlatego tak się pieniałaś z powodu chłopaka Rohrerów.

- Możliwe. Ostatecznie nie sprzeciwili się tak bardzo, jak się odgrązali. Z czasem się to ułoży lepiej. - Spojrzała na niego przez ramię. - Myślę, że właśnie z tego powodu ciebie podziwiam.

Przerwał oglądanie pozytywki z różanego drewna, leżącej na stole.

- Mnie?

- Twoje zainteresowanie, zaangażowanie w sprawy dzieci i całej rodziny. Takie gruntowne, takie naturalne. - Odgarnęła włosy, sięgnęła po pudełko i zaczęła wysypywać na talerz ciasteczka.

- Nie każdy chce czy potrafi poświęcać temu tyle czasu i uwagi. Nie każdy kocha tak mocno.

- Uśmiechnęła się. - Teraz ja wprowadziłam cię w zakłopotanie.

- Nie. Tak - przyznał i wziął ciasteczko. - Nie spytałaś dotąd o ich matkę. - Ponieważ Nell milczała, Mac ciągnął dalej. - Właśnie skończyłem college, kiedy ją spotkałem. Pracowała jako sekretarka w biurze nieruchomości mojego ojca. Była piękna. Jej uroda mogła zawrócić człowiekowi w głowie. Spotkaliśmy się parę razy, poszliśmy do łóżka, no i zaszła w ciążę. - Mówił wszystko tak drewnianym głosem, że Nell zdziwiona spojrzała na niego. Ugryzł ciasteczko, sprawdzając, czy twarde. - Nie chcę się usprawiedliwiać. Nie tylko ona zawiniła. Byłem młody, ale na tyle dojrzały, by wiedzieć, co robię, i czuć się za to odpowiedzialny.

Zawsze serio traktował własne obowiązki, pomyślała Nell, i zawsze był odpowiedzialny. Wystarczy na niego spojrzeć i od razu widać, że można na nim polegać.

- Nic nie wspominasz o miłości.

- Nie, nie wspominam. - Do tej sprawy podchodził z należytą powagą. - Podobała mi się, a ja jej. A przynajmniej tak mi się zdawało. Nie wiedziałem wtedy, że kłamała i mimo zapewnień nie stosowała żadnej antykoncepcji. Dopiero po ślubie stwierdziłem, że chciała się urządzić, więc... „usidlila syna swojego szefa”. To jej własne słowa - dodał. - Angie dostrzegła w tym okazję do podniesienia sobie poziomu życia.

Zdumiewało go, że nawet teraz, po tylu latach, zarówno jego miłość własna, jak i serce cierpiały na wspomnienie, że tak lekkomyślnie dał się wykorzystać.

- Krótko mówiąc - ciągnął tym samym beznamiętnym tonem - nie wzięła pod uwagę bliźniąt ani trudów macierzyństwa. Toteż miesiąc po urodzeniu chłopców wyczyściła nasze konto w banku i spłynęła.

- Tak mi przykro, Mac - szepnęła Nell. Żałowała, że nie zna słów czy gestów, które by odmieniły ten zimny, pusty wyraz jego oczu. - To musiało być straszne dla ciebie.

- Mogło być gorzej. - Przez chwilę spotkały się ich spojrzenia. - Mogłem ją kochać. Raz się ze mną skontaktowała, żebym podpisał rachunek za rozwód. W zamian oddała mi dzieci czyste i wolne. Czyste i wolne - powtórzył z naciskiem - jakby to były jakieś przedmioty, a nie dzieci. I na tym się rozstaliśmy. Ot, i cała historia.

- Na pewno? - Nell podeszła i wzięła jego ręce w swoje dłonie. - Nawet jeśli jej nie kochałeś, to cię zraniła.

Wspięła się na palce, by pocałować go w policzek, pogłaskać i pocieszyć. Dostrzegła zmianę: tak, w oczach Maca było cierpienie. Ta historia wiele wyjaśnia, pomyślała, obserwując jego twarz. Był człowiekiem wypalonym i pozbawionym złudzeń. Jednak się nie załamał, nie obarczył swoich rodziców wychowaniem dzieci, tylko zabrał synów i zaczął z nimi nowe życie. Zaczął żyć dla nich.

- Nie zasługiwała ani na ciebie, ani na tych chłopców.

- Nie odczuwałem tego jako ciężaru. - Nie mógł teraz oderwać wzroku od Nell. Nie tyle mu współczuła, co po prostu w pełni go rozumiała. - To najlepsze, co mam. Nie chciałbym, aby ktoś myślał, że się dla nich poświęciłem.

- Bo się nie poświęciłeś. Nie poświęcasz. - Serce jej drgnęło, gdy objęła go ramionami. Też uważała, że to przyjemność, a nie poświęcenie. Lecz i coś więcej, coś ważniejszego, co ją głęboko poruszyło.

- Twoje słowa świadczą o tym, że ich kochasz. To zupełnie niezwykle, gdy mężczyzna traktuje swoje dzieci jako dar. I w dodatku zdaje sobie z tego sprawę.

Trzymał ją w ramionach i niezupełnie wiedział, kiedy to się stało. Takie to było łatwe, takie oczywiste, mieć ją po prostu w objęciach.

- Kiedy otrzymasz cenny dar, musisz o niego bardzo dbać. - Głos jego stał się niższy ze wzruszenia. Jego dzieci. Ona. Było coś w tym, jak na niego patrzyła, i w tym lekkim wygięciu ust.

Unióśł dłoń, by pogłodzić włosy Nell, cofnął ją jednak po chwili, kiedy się opamiętał.

- Powinienem już iść.

- Zostań - poprosiła po prostu i zwyczajnie. - Wiesz, że chcę, abyś został. Wiesz, że cię pragnę.

Nie mógł oderwać oczu od jej twarzy, a jego pożądanie było mocniejsze i słodsze, niż potrafił to sobie wyobrazić.

- Wziąłem na siebie za dużo spraw, to za duży bagaż. Po większej części na przechowanie, ale...

- Nie dbam o to. - Oddychała, drżąc. - Nie mam w tej chwili ani krzty godności. Kochaj się ze mną, Mac. - Z westchnieniem opuściła głowę i przywarła do niego ustami. - Po prostu kochaj mnie dziś wieczór.

Nie umiał się oprzeć. Marzenie to dręczyło mu ciało i duszę od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał. Była uosobieniem ciepła i łagodności. A jemu długo już brakowało obu tych cudownych kobiecych darów.

Teraz, kiedy go tak obejmowała i całowała, nie miał żadnych innych pragnień.

Nigdy nie uważał się za romantyka. Zastanawiał się, czy kobieta w rodzaju Nell nie wolałaby blasku świec, cichej muzyki, aromatów unoszących się w powietrzu. Ale sceneria była, jaka była. Jemu pozostało wziąć Nell w ramiona i zanieść do sypialni.

Zapalił światło. Zdziwił się, że nagle zniknęło jego zdenerwowanie, gdy w jej oczach ujrzał błysk niepokoju.

- Myślałem o tym od bardzo dawna - powiedział. - Za każdym razem, kiedy cię dotykam, marzę, by cię ujrzeć naga. Pragnę cię zobaczyć.

- Dobrze. - Na widok jego uśmiechu przestała odczuwać najmniejsze napięcie. - Ja też pragnę cię zobaczyć nagim.

Zaniósł ją do łóżka i położywszy się obok, pieścił dłonią jej włosy. Potem pochylił się nad nią i pocałował.

Okazało się to takie łatwe, jakby od dawna dzielili ze sobą wszystkie noce. I takie ekscytujące, jakby oboje znaleźli się w łóżku po raz pierwszy, niewinni jak dzieci.

Dotyk - długi i cierpliwy. Szept, westchnienie - ciche i łagodne. Jego ręce nigdy nie były gwałtowne, dawały wyłącznie przyjemność, gdy spokojnie, z przerwami, wodził nimi po jej ciele i odpinał guziki bluzki.

Nell reagowała dreszczami na pieszczoty. Jej skóra pulsowała setkami punkcików ożywionych dotykiem jego palców i ust. Zadrżały mu ręce, gdy jęknęła i ze śmiechem obróciła się po tym, jak dotarł wreszcie do jej nagiego ciała.

Kochamy się. Te słowa nigdy nie wydawały się jej prawdziwsze. Była to najgłębsza czułość zmieszana z przenikającą na wskroś zmysłowością, oplatającą ciało jedwabnymi więzami. Za każdym razem jego usta całowały mocniej, namiętniej - całym sobą istniał tylko dla niej. I niczego więcej nie pragnęła.

Oddawała mu się z bezdenną hojnością, która go oszołomiła. Ich ciała pasowały do siebie z cudowną precyzją. Za każdym razem, gdy sądził, że traci kontrolę, bez trudu powracał do wspólnego rytmu - powolnego, subtelnego i bardzo zmysłowego.

Nell była drobna, delikatnie zbudowana. Ta kruchość sprawiała, że jego ręce stawały się coraz bardziej delikatne i tkliwe w dotyku. Nawet kiedy po raz pierwszy krzyknęła, nie spieszył się.

Odpychał od siebie pragnienie pogrążenia się w niej bez reszty, nawykł do samokontroli wystarczająco długo, by chronić ich oboje. Kiedy wreszcie się to stało, zamknęli oczy.

Za oknem wiatr uderzał dźwięcznie o szyby i grał jak dzwoneczki u sań. Pierwsze tej zimy płatki śniegu spadły na ziemię sennie i cicho.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ciągle za mało mu było Nell. Mac uznał, że w najgorszym razie jest to rodzaj choroby, w najlepszym - chwilowe zauroczenie. Niezależnie od ilości spraw do załatwienia, wciąż, i dniem, i nocą, znajdował chwile, by o niej myśleć.

Choć nie miał wątpliwości, że jest cyniczny, żałował, że nie chodziło mu wyłącznie o seks. Gdyby to był tylko seks, zwałiby wszystko na hormony i zabrał się spokojnie do roboty. Niestety, myśląc o niej, nie wyobrażał sobie tylko scen w łóżku, ani nie roił o znalezieniu wolnej godzinki, by znów zaznać jej pieśczoć i przytulić się do drobnego ciała Nell.

Czasami, kiedy stawała mu przed oczami, widział ją przed grupą dzieci, jak dyryguje z całym oddaniem ich śpiewem. Albo przy pianinie: po obu stronach stoją jego chłopcy, a ona śmieje się do nich. Albo zwyczajnie spacerującą po mieście z rękami w kieszeniach i głową zadartą ku niebu.

Napełniała go prawdziwym przerażeniem.

Jaka ona jest prosta, bezpośrednia w obejściu. W sam raz dla niego - stwierdził przy odmierzaniu listwy podłogowej. Nie musieli uważać na niewłaściwe gesty czy słowa. Po prostu... byli. To dość, by człowiek oszalał.

Lecz on nie mógł sobie pozwolić na szaleństwo. Musiał wychowywać dzieci, prowadzić interes. Właśnie, cholera, powinien zrobić pranie zaraz, gdy wróci do domu. I... a niech to, znów zapomniał wyjąć kurczaka z zamrażarki.

No, więc zjedzą hamburgery gdzieś po drodze na koncert. Zbyt dużo ma dziś na głowie, żeby jeszcze podawać obiad. Święta za pasem, a w dodatku dzieci zachowują się dziwnie.

Tylko rowery, tato, oznajmili. Mikołaj je zrobi i sam zatroszczy się o ten duży prezent.

Co to znaczy „duży prezent”? - zastanawiał się Mac. Żadne pytania ani sztuczki nie skłoniły ich do wyjawienia odpowiedzi. I aż dotąd chłopcy nie puścili pary z ust. Męczyła go ta myśl. Wiedział, że za rok albo dwa, jeśli mu się poszczęści, przestaną wierzyć w Mikołaja i w czary. Skończy się czas niewinności. Niezależnie, czego spodziewali się na Gwiazdkę, pragnął, by odnaleźli to pod choinką.

Kiedy ich podpytywał, tylko się uśmiechali, że to będzie niespodzianka dla nich trzech. Powinien coś z tym zrobić.

Mac przybił kolejną listwę. Na razie ustawili choinkę, przygotowali ciasteczka i prażoną kukurydzę. Miał lekkie poczucie winy, bo zbył Nell, gdy oferowała się z pomocą. I zlekceważył prośby dzieci, żeby przyszła i ubierała z nimi świąteczne drzewko.

Czyżby tylko on jeden dostrzegał, jakim błędem byłoby, gdyby chłopcy zbyt się do niej przywiązali? Nell mieszkała w tym mieście dopiero od paru miesięcy. Mogła w każdej chwili wyjechać. Nawet jeśli uważała ich za urocze i wspaniałe dzieciaki, nie ona w nie inwestowała.

Do licha, teraz on potraktował synów jak rzeczy. Ale przecież nie to miał na myśli. Po prostu nikomu więcej nie pozwoli kręcić się koło nich. Nie będzie ryzykował, za nic na świecie.

Przybiwszy ostatnią listwę, pokiwał z zadowoleniem głową. Dom prezentował się świetnie. Tutaj przynajmniej Mac wiedział, co robi. Podobnie jak wiedział, co należy robić z dziećmi. Żałował tylko, że nie ma zielonego pojęcia, co zrobić z Nell.

- Możliwe, że to będzie dziś wieczorem. - Zek patrzył na parę wydobywającą się z jego ust. Siedzieli z bratem w domku na drzewie okutani w palta i szaliki, chroniące ich przed grudniowym chłodem.

- To jeszcze nie święta.

- Ale dziś jest świąteczny koncert - twierdził z uporem Zek. Już go to czekanie na mamę zmęczyło. - Tam zobaczyliśmy ją po raz pierwszy.

I będzie muzyka, i choinka, i prezenty, więc prawie jak święta.

- Nie wiem. - Zakowi podobał się ten pomysł, nawet bardzo, ale był ostrożniejszy. - Może, ale przed świętami nigdy nie dostajemy żadnych prezentów.

- Jak to nie?! A jak pan Perkins przebiera się za Mikołaja na zabawie w remizie i rozdaje wszystkim dzieciom podarki? To przecież cały tydzień przed świętami.

- Ale to nie są prawdziwe prezenty. To nie są rzeczy, o które prosisz. - Jednak Zak nie stracił jeszcze nadziei. - Może gdybyśmy tak strasznie mocno tego zapragnęli... Tata bardzo ją lubi. Ciocia Mira mówiła wujkowi, że tata znalazł właściwą kobietę, nawet jeśli o tym nie wie. - Zak ściągnął brwi. - Jak może nie wiedzieć, skoro ją znalazł?

- Ciocia Mira zawsze gada bez sensu - rzekł Zek z typową dla młodego wieku wzgardą. - Tata się z nią ożeni, ona zamieszka z nami i zostanie naszą mamą. Musi. Przecież byliśmy grzeczni, no nie?

- Aha. - Zak bawił się czubkiem buta. - Myślisz, że ona nas kocha i w ogóle?

- Chyba tak. - Zek spojrział na brata. - Ja już ją Kocham.

- Ja też. - Zak uśmiechnął się z ulgą. Wszystko w końcu będzie dobrze.

- Proszę o uwagę. - Nell podniosła głos, by przebić się przez gwar panujący w pokoju dla chóru. Podczas wieczornych koncertów pokój ten pełnił rolę garderoby. Uczniowie zgromadzeni dokoła poprawiali stroje, makijaż i włosy oraz zagłuszali zdenerwowanie, gadając, ile sił w płucach. - Proszę o spokój.

Jedna z dziewcząt trzymała głowę między kolanami, walcząc z ostrym napadem tremy. Nell uśmiechnęła się do niej ze współczuciem, podczas gdy grupa powoli się uciszała.

- Wszyscy pracowaliście naprawdę ciężko, żeby dzisiejszy wieczór się udał. Wiem, że wielu z was się niepokoi, bo ma przyjaciół czy rodzinę na widowni. Niech ten stres wam posłuży do lepszego występu. Pamiętajcie, proszę, że wychodzimy na scenę w porządku i z godnością, tak jak ćwiczyliśmy.

Odezwały się nieliczne chichoty. Nell lekko uniosła brew.

- Jeszcze raz przypominam, że musicie zachowywać się z większą powagą i dostojeństwem niż na próbach. Przepona. Śpiew. Postawa. Uśmiech. - Przerwała i uniosła rękę. - A przede wszystkim spodziewam się, że włożycie całą swoją energię w dzisiejszy koncert. Cieszcie się nim - rzekła z uśmiechem. - To przecież święta. No, a teraz chodźmy rzucić publiczność na kolana.

Jej samej serce również jakoś dziwnie biło, gdy kierowała dzieci na scenę i patrzyła, jak się ustawiają na podeście wśród falującego raz ciszej, raz głośniejszego szmeru widowni. Nell wiedziała bowiem, że ten koncert i dla niej będzie pierwszym sprawdzianem. Dziś przekonają się wszyscy, czy szkoła uczyniła dobry wybór, angażując ją jako nową nauczycielkę muzyki.

Wzięła głęboki oddech, obciągnęła brzegi żakietu i wyszła na scenę.

Kiedy stanęła już przy mikrofonie, odezwały się uprzejme oklaski.

- Serdecznie witam na koncercie uczniów liceum w Taylor's Grove.

- Boże, tato, czy panna Davis nie wygląda ładnie?

- Owszem, Zak, wygląda. - Pomyślał, że ślicznie jest tu właściwszym słowem, bo doprawdy ślicznie jej było w ciemnozielonym miękkim kostiumie, z koralikami we włosach i nerwowym uśmiechem na twarzy.

W światłach sceny prezentowała się cudownie. Ciekawiło go, czy ona sama o tym wie. Nell jednak wiedziała w tej chwili wyłącznie o własnym zdenerwowaniu. Żałowała, że nie może patrzeć na twarze. Zawsze wolała widzieć publiczność, kiedy występowała. To stwarzało intymniejszy kontakt i dawało więcej przyjemności. Po wygłoszeniu powitania odwróciła się i uśmiechnęła, ujrawszy wpatrzone w siebie oczy uczniów.

- Dobra, dzieci - szepnęła półgłosem, tak żeby tylko one mogły ją słyszeć. - Gramy.

Rozpoczęli od mocnego uderzenia, bo na początku odśpiewali „Święty Mikołaj przybywa do miasta” w wersji Springsteena, po której na widowni szeroko otwierano oczy ze zdziwienia. Nie był to zwykły program wywołujący ziewanie, jakiego wielu się spodziewało.

Wybuchły oklaski i Nell poczuła, że jej napięcie zelżało. Przełamali pierwsze lody. Zaraz od tych żywych rytmów przeszła do tradycyjnych pieśni; drżała, kiedy salę wypełniły harmonijne tony „Cantate Domine”, cieszyła się śpiewem sopranów w „Adeste Fideles”, uśmiechała, gdy zaczęli „Jingle Bell Rock”, uzupełniając piosenkę rytmicznym ruchem i klaskaniem.

Serce urosło jej z dumy, kiedy Kim podeszła do mikrofonu, a w powietrzu popłynęły pierwsze czyste nuty jej solowej partii.

- Och, Dave. - Mira, pociągając nosem, złapała za rękę męża, potem zaś Maca. - Nasze dziecko.

Przepowiednia Nell sprawdziła się. Po występie Kim, która cofnęła się do szeregu, niejedne oczy były wilgotne ze wzruszenia.

Koncert zakończyli kolędą „Cicha noc”, śpiewaną a capella. Właśnie tak należało ją wykonywać - tłumaczyła Nell wcześniej uczniom - bo tak została ona napisana.

Kiedy ucichły ostatnie tony i Nell odwróciła się, by wskazać ręką na chór, publiczność powstała z miejsc. Burza oklasków przetoczyła się nad sceną. Panna Davis spojrzała na swoich uczniów, którzy zaskoczeni i zdumieni niepewnie się uśmiechali.

Ona zaś, ukrywając łzy, czekała, by podejść do mikrofonu, gdy owacja trochę przycichnie.

- Byli cudowni, prawda?

Tak jak się spodziewała, jej słowa wywołały ponowne brawa i okrzyki. Poczekała, aż nieco przycichną.

- Chciałabym podziękować państwu za obecność i za wspieranie chóru. Winna jestem specjalne podziękowania rodzicom występujących dzisiaj śpiewaków za ich cierpliwość, zrozumienie i gotowość oddania mi dzieci na kilka godzin dziennie. Wszyscy uczniowie bardzo ciężko pracowali na ten dzisiejszy wieczór, więc cieszę się, że doceniliście ich talent i wysiłek. Chciałabym dodać, że kwiaty, które widzicie na scenie, ofiarowała firma Hill Florists i są do kupienia po trzy dolary doniczka. Zbieramy w ten sposób fundusz na nowe stroje dla chóru. Wesółych świąt i proszę, przyjdźcie tu znowu.

Zanim Nell zdążyła cofnąć się od mikrofonu, Kim i Brad stanęli obok niej.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Brad chrząknął, a tymczasem gwar na widowni zaczął przycichać. - Nasz chór chciałby wręczyć w dowód naszego uznania dla panny Davis... eee... za cały jej trud i zachętę... eee...

Kim napisała przemowę, a Brada wyznaczono, by ją wygłosił. Trochę się zająknął i uśmiechnął bezmyślnie do Kim.

- To jest pierwszy koncert panny Davis w naszej szkole... eee...

W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć wszystkich tych miłych słów, które napisała Kim, więc powiedział prosto od serca.

- Pani jest wspaniała. Dziękujemy, panno Davis za wszystko.

- Mamy nadzieję, że się pani spodoba - szepnęła Kim, gdy pośród braw wręczała Nell pudełko opakowane w błyszczący papier. - Wszyscy się na to złożyli.

- Jestem... - Nell nie wiedziała, co powiedzieć, bała się odwinąć. Kiedy wreszcie otworzyła pudełeczko, ujrzała przez łyzy broszkę w kształcie klucza wiolinowego.

- Wiemy, że lubi pani biżuterię - zaczęła Kim - więc pomyśleliśmy...

- Jest piękna. Jest idealna. - Głęboko odetchnąwszy, Nell odwróciła się do chóru. - Dziękuję wam. Ma dla mnie wartość prawie taką, jak wy sami. Wesołych świąt.

- Dostała prezent - z naciskiem powiedział Zak. Czekali w zatłoczonym korytarzu przed aulą, aby pogratulować Kim. - To znaczy, że i my możemy dziś dostać. Ją dostać... Dostać mamę.

- Jeżeli zaraz nie pójdzie do domu. - Zak właśnie próbował temu zapobiec. Czekał na odpowiedni moment. A gdy ją ujrzał, skoczył.

- Panno Davis! Tutaj, panno Davis!

Mac się nie poruszył. Nie był w stanie. Coś się z nim stało, kiedy siedział w trzecim rzędzie i oglądał ją na scenie. Patrzył na jej uśmiech i na łyzy w oczach. Po prostu na nią patrzył.

Był w niej zakochany. Niczego takiego wcześniej nie doświadczał. Niczego, z czym nie umiałby sobie poradzić. Ucieczka wydawała mu się najmądrzejszym wyjściem, ale nie sądził, że potrafi się ruszyć.

- Cześć! - Nell przykucnęła, objęła mocno obu chłopców i ucałowała każdego w policzek.

- Podobał się wam koncert?

- Był naprawdę dobry, a Kim najlepsza.

- Też tak uważam, ale to nasz sekret - szepnęła Nell Zekowi na ucho.

- My umiemy dotrzymywać sekretów - Zek chytrze uśmiechnął się do brata. - Jeden nawet przez całe tygodnie.

- Czy przyjdzie pani teraz do nas, panno Davis? - Zak uwiesił się jej ręki i spoglądał na nią uwodzicielsko. - Proszę. Pokażemy naszą choinkę i iluminację. Wszędzie umieściliśmy lampki, żeby pani mogła je zobaczyć z dołu na szosie.

- Byłoby mi miło. - Niepewnie spojrzała na Maca. - Ale może wasz tata jest zmęczony?

Nie był zmęczony, był powalony. Miała wciąż wilgotne rzęsy, a broszka od uczniów połyskiwała na jej aksamitnym zakiecie.

- Prosimy, jeśli sama podjedziesz samochodem - wykrztusił wreszcie.

- Lubię jeździć. Jeszcze nie ochłonęłam.

- Wyprostowała się, wypatrując na twarzy Maca jakichś oznak zadowolenia lub niechęci. - Jeżeli masz pewność, że to nie będzie nie w porę...

- Nie. - Stwierdził, że język mu zeszywniał. Tak jakby pił. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Więc przyjadę, jak tylko tu się skończy.

- Mrugnęła do chłopców i wmieszała się z powrotem w tłum.

- Dokonała cudów z tymi dziećmi. - Pani Hollis pochyliła się do Maca. - Wstyd byłoby ją stracić.

- Stracić? - Mac spojrział na chłopców, którzy szeptali coś do siebie. - Co pani przez to rozumie?

- Słyszałam od pana Perkinsa, a on od Addie McVie z sekretariatu, że zaproponowano Nell Davis od jesieni miejsce w jej starej szkole w Nowym Jorku. Nell konferowała z dyrektorem dziś rano. - Pani Hollis paplała dalej, a Mac patrzył gdzieś ponad jej głową niewidzącym wzrokiem.

- Smutno się robi na myśl, że nas opuści. Chyba jej zależało na tych dzieciach. - Pani Hollis dojrzała jedną ze swych kum od plotek i torując sobie wśród tłoku drogę łokciami, przedarła się w jej kierunku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Samokontrola przychodziła Macowi z łatwością, a przynajmniej tak było przez ostatnie siedem lat. Starał się zatem, na ile tylko mógł, nie okazywać swego podłego nastroju i wściekłości.

Tak cieszą się z jej wizyty, myślał z goryczą. Jak pilnują, żeby paliły się wszystkie światła, żeby wyłożyć ciasteczka, żeby Zark miał ozdobny dzwonek na obroży.

Też są w niej zakochani, stwierdził ze smutkiem. A to cholernie pogarszało sprawę.

Powinien był wcześniej to przewidzieć. Przewidywał. Tylko jakoś pozostawił rzeczy własnemu biegowi. I sam się nie upilnował, i pociągnął za sobą dzieci.

Chyba jednak da się coś zaradzić? Mac nalał sobie piwa i odstawił butelkę. Był przecież dobry w załatwianiu spraw.

- Panie lubią wino - poinformował go Zak. - Ciocia Mira lubi.

Przypomniał sobie, jak Nell popijała białe wino na przyjęciu u Miry.

- Nie mam - mruknął.

Ponieważ ojciec nie wyglądał na szczęśliwego, Zak trącił go w nogę.

- Następnym razem możesz kupić, zanim przyjdzie.

Mac pochylił się i ujął w dłonie twarz synka. Ujrzał w niej miłość tak żywą i silną, że wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Zawsze masz odpowiedź, brzdącu, co?

- Lubisz ją, tato, prawda?

- Tak, jest miła.

- A ona nas też lubi, no nie?

- A któż by nie lubił chłopaków Taylora? - Mac usiadł na kuchennym stole i wziął Zaka na kolana. Jeszcze kiedy synowie byli mali, odkrył, jak czarodziejskie właściwości ma przytulenie własnego dziecka. - Na ogół nawet ja was lubię.

Na te słowa Zak zachichotał i przysunął się bliżej.

- Mimo to musi mieszkać sama. - Zak zaczął się bawić guzikiem ojcowskiej koszuli. Mac wiedział, że to wyraźny znak, prowadzący do jakiegoś celu.

- Wielu ludzi mieszka samotnie.

- A my mamy duży dom i całe dwa pokoje, w których nikt nie śpi poza dziadkami, jak przyjadą w goście.

Mac, zaalarmowany, pociągnął lekko synka za ucho.

- Do czego zmierzasz, Zak?

- Do niczego. - Zak wysunął wargę, bawił się kolejnym guzikiem. - Po prostu się zastanawiałem, jak by to było, gdyby ona tu z nami zamieszkała. - Popatrzył na ojca badawczo spod przymkniętych oczu. - Wtedy nie byłaby samotna.

- Nikt nie twierdzi, że ona jest samotna - zaznaczył Mac. - I powinieneś, jak sądzę...

Odezwał się dzwonek u drzwi. Pies pobiegł w podskokach, szczekając i dzwoniąc. Zek wleciał do kuchni tanecznym krokiem.

- Przyszła! Przyszła!

- Widzę. - Mac zwichrzył Żakowi włosy i postawił go na ziemi. - Więc wpuście ją. Jest zimno na dworze.

- Ja pójdę!

- Ja!

Chłopcy pomknęli na wyścigi przez cały dom do drzwi frontowych. Dopadli ich razem, przepychali się przy klamce, a gdy je już z hukiem otworzyli, prawie wciągnęli Nell przez próg.

- Tyle czasu to trwało - poskarżył się Zek. - Czekamy już całą wieczność. Puściłem świąteczną muzykę. Słyszysz pani? Zapaliliśmy lampki na choince i w ogóle.

- Widzę. - To był śliczny pokój i Nell starała się nie czuć żalu, że dopiero teraz ją tu zaproszono.

Wiedziała, że Mac sam zbudował ten dom prawie w całości. Wiele jej o tym opowiadał. Stworzył otwartą domową przestrzeń, w dużej mierze drewnianą, z oszklonym kominkiem, gdzie już wisały pończochy. Choinka - wysoka jodła przedziwnie ubrana - stała dumnie przed szerokim frontowym oknem.

- Jest cudowna. - Pozwoliła chłopcom zaciągnąć się bliżej. - Naprawdę wspaniała. Przy niej świąteczna choineczka u mnie w mieszkaniu wygląda marnie.

- Ta może być wspólna. - Zak spojrział na Nell wzrokiem pełnym miłości. - Powiesimy dla pani pończochę i w ogóle... i napiszemy pani imię. Weźmiemy jakąś dużą - obiecał Zak.

Chwycili ją tym za serce, równie mocno jak za ręce. Przepelniona uczuciem ukucnęła, by ich przytulić.

- Wy, chłopaki, jesteście najlepsi. - Roześmiała się, kiedy Zark próbował zwrócić na siebie uwagę. - Ty też - dodała.

Z rękami obejmującymi dzieci i psa podniosła wzrok, by uśmiechnąć się do Maca, który właśnie wyszedł z kuchni.

- Cześć. Przepraszam, że trwało to tak długo. Paru uczniów nalegało, by omówić nasz triumf i popełnione błędy.

Nie powinna wyglądać tak na swoim miejscu, tak doskonale przy tej choince, z chłopcami w objęciach.

- Nie słyszałem żadnych błędów.

- Były, były. Ale popracujemy nad nimi.

Cofnęła się i usiadła na stołeczku razem z bliźniakami. Tak jakby zamierzała ich zabrać - pomyślał Mac.

- Nie mamy wina - uczciwie poinformował ją Zak. - Ale jest mleko i sok, i woda sodowa, i piwo. I wiele innych rzeczy. Albo... - Popatrzył wymownie w stronę ojca. - Ktoś może zrobić gorące kakao.

- To jedna z moich specjalności - Nell wstała, żeby zrzucić palto. - Gdzie jest kuchnia?

- Ja zrobię - mruknął Mac.

- Pomogę ci. - Zmieszana jego nagłą rezerwą podeszła bliżej. - A może nie lubisz kobiet w swojej kuchni?

- Nie mamy ich tu za wiele. Dobrze wyglądałaś na scenie.

- Dziękuję. Nie najgorzej się tam czułam. Patrzył gdzieś poza nią w szeroko otwarte i pełne nadziei oczy dzieci.

- A wy dwaj, dlaczego nie idziecie się przebrać w piżamy? Zanim wrócicie, kakao będzie gotowe.

- Będziemy szybciej! - zakrzyknął Zek i rzucił się na schody.

- Tylko spróbujcie zostawić ubrania na podłodze! - Wrócił do kuchni.

- Powieszają czy wepchną pod łóżko? - spytała Nell.

- Zak powiesi i spadną na podłogę, Zek wsunie pod łóżko.

Roześmiała się i patrzyła, jak wyjmuje mleko i kakao.

- Miałam ci powiedzieć, że parę dni temu przyszli z Kim na próbę. Zamienili się swetrami... wiesz, te kolory rozpoznawcze. Bardzo się zdziwili, kiedy mimo to wiedziałam, który jest który.

Przestał wsypywać kakao do garnka.

- A jak to zrobiłaś?

- Chyba wcale się nad tym nie zastanawiałam. Każdy z nich ma inną osobowość. Wyraz twarzy. Wiesz, jak Zek mruży oczy, a Zak patrzy spod przymkniętych powiek, kiedy są z czegoś zadowoleni. Ton głosu. - Otworzyła na chybił trafił kredens, rozglądając się za kubkami. - Postawa. Jest mnóstwo drobiazgów, jeśli patrzeć dość uważnie. O, znalazłam. -

Zadowolona z siebie wyjęła kubki i postawiła na blacie. Pochyliła głowę, gdy dostrzegła, że Mac ją obserwuje. Badawczo, jak stwierdziła. Tak jakby była czymś, co można zmierzyć i umieścić na właściwym miejscu.

- Coś nie tak?

- Chciałbym z tobą porozmawiać. - Podgrzewał kakao.

- Już wspominałeś. - Musiała oprzeć się ręką o blat. - Mac, czegoś tu nie rozumiem albo ty się wycofujesz.

- Nie wiem, czy mógłbym to tak nazwać. Coś się działo niedobrego. Nell próbowała temu zaradzić.

- A jak byś to nazwał? - spytała z największym spokojem, na jaki mogła się zdobyć.

- Trochę martwię się o chłopców. O przykre skutki twojej przeprowadzki. Za bardzo się w to uwikłali. - Zastanawiał się, dlaczego zabrzmiało to tak głupio? Dlaczego on sam czuł się tak głupio?

- Oni się uwikłali?

- Sądzę, że posyłał im niewłaściwe sygnały i lepiej dla nich będzie, jeśli się z tego wycofamy.

- Robił kakao z taką uwagą, jakby to był eksperyment nuklearny. - Parę razy wspólnie gdzieś wyszliśmy i...

- Spaliśmy ze sobą - dokończyła chłodno. To był ostateczny argument.

Rozejrzał się pospiesznie dokoła. Ale na szczęście wciąż słyszał stapanie małych nóżek w pokoju nad kuchnią.

- Tak, spaliśmy ze sobą i było wspaniale. Problem w tym, że dzieci rozumieją więcej, niż się ludziom zdaje. I mają swoje pomysły. Zaczynają się przywiązywać.

- A ty nie chcesz, żeby się do mnie przywiązali. - Pewno, że nie, pomyślała. To by go bolało.

- I ty sam nie chcesz się przywiązywać.

- Po prostu uważam, że błędem byłoby to ciągnąć dalej.

- Trudno powiedzieć jaśniej. Ustawiamy znowu zakaz wjazdu i już mnie nie ma.

- To nie tak, Nell. - Odłożył łyżeczkę i zrobił krok w jej kierunku. Ale przystanął przed granicą, której nie mógł przekroczyć. Którą sam sobie stworzył. Gdyby nie miał pewności, że oboje są po różnych jej stronach, jego życie, z takim trudem zbudowane, ległoby w gruzach. - Wszystko tu trzymam pod kontrolą i muszę tak postępować. Mają tylko mnie. A ja mam tylko ich. Nie wolno mi tego burzyć.

- Możesz się nie tłumaczyć. - Jej głos stał się niższy. Wiedziała, że za moment zaczniesz się trząść. - To było po tobie jasno widać od samego początku. Zupełnie jasno. Zabawne, że gdy po raz pierwszy zaprosiłeś mnie do domu, to tylko po to, by mnie wyrzucić.

- Wcale cię nie wyrzucam, chcę jedynie poustawić pewne sprawy.

- A idź do diabła i ustawiaj sobie swoje domy! - Wybiegła z kuchni.

- Nell, nie odchodź w ten sposób!

Ale w chwili, gdy wpadł do pokoju, Nell brała już palto, a chłopcy gnali na dół po schodach.

- Dokąd pani idzie, panno Davis? Pani nie może... - Obaj chłopcy stanęli zaszokowani łzami, które płynęły jej po twarzy.

- Przepraszam. - Za późno było je ukryć, więc dalej szła w stronę drzwi. - Mam coś do załatwienia. Przepraszam.

Wyszła. Mac tkwił bezradnie pośrodku salonu, a chłopcy wpatrywali się w niego. Przeróżne usprawiedliwienia krążyły mu po głowie. Zanim jednak spróbował się nimi posłużyć, Zak wybuchnął płaczem.

- Odeszła! Przez ciebie płakała i odeszła!

- Nie miałem takiego zamiaru. Ona... - Wykonał ruch, by przygarnąć synów, lecz natknął się na szczelny mur oporu.

- Wszystko zepsułeś! - Po twarzy Zeka ciekły łzy gorące od gniewu. - Zrobiliśmy wszystko, co trzeba, a ty to zepsułeś!

- Ona nigdy nie wróci! - Zak usiadł na najniższym schodku i szlochał. - Teraz nigdy nie zostanie naszą mamą!

- Co? - Mac, czując pustkę w głowie, przeczesał ręką włosy. - O czym wy obaj mówicie?

- Zepsułeś to - powtórzył Zek.

- Wiecie, panna Davis i ja... mieliśmy nieporozumienie. Ludziom czasem się to zdarza. To jeszcze nie koniec świata.

- Mikołaj ją przysłał! - Zak tarł piętami oczy. - Przysłał ją, tak jak go prosiliśmy. A teraz sobie poszła.

- Jak to Mikołaj ją przysłał? - Mac z determinacją usiadł na schodach. Posadził sobie chlapiącego Zaka na kolanach i przyciągnął Zeka. - Panna Davis przyjechała z Nowego Jorku uczyć muzyki, a nie z bieguna północnego.

- Wiemy. - Zek, zapominając o gniewie, oparł wygodnie głowę na piersi Maca. - Przyjechała, bo wysłaliśmy Mikołajowi list wiele miesięcy temu, żeby miał dużo czasu.

- Na co?

- Na to, żeby wybrać dla nas mamusię. - Zak pociągnął nosem i popatrzył na ojca. - Chcieliśmy kogoś ładnego, kto ładnie pachnie i lubi psy, i ma jasne włosy. Poprosiliśmy i się zjawiała. A ty miałeś się z nią ożenić, żeby była naszą mamą.

Mac głęboko westchnął i modlił się o jakąś mądrą myśl.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście, że chcielibyście mieć mamusię?

- Nie jakąś tam mamusię - odrzekł Zak. - Tę mamusię! Panna Davis jest tą mamusią, ale odeszła. Kochamy ją, a ona teraz przestanie nas lubić, bo przez ciebie płakała.

- Na pewno dalej będzie was lubiła. - Jego zniechęciła, ale nie powinna przenosić tego na chłopców. - Ale wy jesteście już dumni i powinniście wiedzieć, że mamy nie dostaje się od Mikołaja.

- Przysłał dokładnie taką, o jaką prosiliśmy. Nie prosiliśmy o nic więcej poza rowerami. - Zak wygodniej rozsiadł się na kolanach ojca. - O żadne zabawki ani o żadne gry. Tylko o mamusię. Zrób coś, żeby wróciła, tato! Załatw to! Ty zawsze wszystko załatwiasz!

- To nie takie proste, brzdącu. Ludzie to nie popsute zabawki czy stare domy... Ale to nie Mikołaj ją tu przysłał. Przeprowadziła się do naszego miasteczka z powodu pracy...

- Nic nie rozumiesz. To właśnie Mikołaj ją tu przysłał... dla nas. - Zak ze zdumiewającą godnością zszedł z kolan ojca. - Może ty jej nie chcesz, ale my chcemy.

Urażeni synowie solidarnie poszli na górę, zostawiając Maca samego ze ściśniętym żołądkiem i z rozchodzącym się po kuchni zapachem przypalonego kakao.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Powinnam wyjechać z miasta na parę dni, myślała Nell. Gdziekolwiek. Nie ma nic bardziej żalnego niż samotna Wigilia, kiedy widać przez okno, jak inni ludzie kręcą się zaaferowani na ulicy.

Zrezygnowała ze wszystkich świątecznych zaproszeń, a preteksty, jakich używała, nawet jej samej wydawały się niewiarygodne. I zamartwiała się, co było całkiem do niej niepodobne. Ale z drugiej strony nigdy dotąd nie musiała leczyć zranionego serca.

W historii z Bobem ucierpiała tylko jej duma. I samo przeszło z zadziwiającą szybkością.

Teraz zraniono jej uczucia, akurat w święta, kiedy miłość jest najważniejsza.

Tęskniła za nim. Och, jakże nienawidziła siebie za to, że tęskni za jego delikatnością, za tym powolnym, niepewnym uśmiechem, za tym spokojnym głosem. W Nowym Jorku mogła przynajmniej wmieszać się w zawsze śpieszący dokądś tłum. Tutaj wszakże, gdziekolwiek zwróciła oczy, czyhały na nią wspomnienia.

Wyjedź gdzieś, Nell. Po prostu wsiądź w samochód i pojedź.

Pragnęła bardzo zobaczyć chłopców. Ciekawa była, czy wyciągnęli saneczki na pierwszy śnieg, który spadł wczoraj. Czy liczą godziny do Gwiazdki, czy będą czuwać w nocy, by usłyszeć saneczki renifera?

Miała dla nich prezenty. Leżały teraz owinięte w papier pod jej choinką. Pomyślała, że pośle je przez Kim lub Mirę i znów ogarnął ją smutek, bo nie ujrzy radosnych buzi chłopców otwierających pakunki.

To przecież nie jej dzieci. Na ten temat Mac zawsze wyrażał się jasno. Już samo to, że on miałby podzielić się sobą, było dlań dostatecznie trudne. Dzielenie się dziećmi okazało się rafą nie do przebycia.

Wyjedzie stąd - postanowiła i przymusiła się do działania. Zapakuje torbę, wrzuci ją do samochodu i będzie jechać, póki jej się gdzieś nie spodoba. Zostanie tam parę dni albo nawet tydzień, do diabła. Nie zniesie siedzenia samotnie przez całe ferie.

Przez kolejne dziesięć minut pakowała bezładnie rzeczy do podręcznej walizeczki. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, chciała tylko jednego - wyruszyć jak najszybciej. Zasunęła zamek walizki, zaniósła ją do salonu i poszła po palto.

Na odgłos pukania do drzwi zacisnęła zęby.

Jeśli to znów jakiś uprzejmy sąsiad, by życzyć jej wesołych świąt i zaprosić na kolację - chyba zaczniesz krzyczeć.

Otworzyła i poczuła się tak, jakby w jej świeżą ranę wbito nóż.

- Cóż, Macauley... Chodzisz składać życzenia swoim lokatorom?

- Mogę wejść?

- A dlaczego?

- Nell. - Były w tym słowie całe złoża cierpliwości. - Proszę, wpuść mnie do środka.

- W porządku, ty tu jesteś właścicielem. - Odwróciła się do niego tyłem. - Przepraszam, ale nie wydaję żadnego przyjęcia i daleko mi do dobrego nastroju.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Doprawdy? Wybacz, jeśli się nie ucieszę. Po tym, jak ostatnio musiałeś ze mną porozmawiać, dotąd boli mnie głowa.

- Nie zamierzałem doprowadzać cię do łez.

- Płacz przychodzi mi z łatwością. Trzeba mnie było widzieć po świątecznych reklamach w telewizji. - Nie umiała długo utrzymać tego sztucznego tonu, więc uległa i zapytała o to, co jej najbardziej leżało na sercu. - A jak tam dzieci?

- Prawie się do mnie nie odzywają. - Na jej zdumione spojrzenie pokazał ręką w kierunku kanapy. - Usiądziemy? To dość skomplikowana historia.

- Postoję. Właściwie nie mam dużo czasu, właśnie wyjeżdżam.

Powiodł w ślad za nią wzrokiem i ujrzał walizkę. Zacisnął usta.

- No, nie trwało to długo.

- Co nie trwało?

- Domyślam się, że przyjęłaś tę ofertę pracy w Nowym Jorku.

- Plotki szybko się rozchodzą. Nie, nie przyjęłam. Lubię tutejszą szkołę i tutejszych ludzi, więc zamierzam zostać, A teraz wybieram się na ferie.

- O piątej wieczorem w Wigilię?

- Mogę robić, co mi się podoba. Nie, nie zdejmuj palta - warknęła. Była na granicy łez.

- Wygłoś swoją kwestię i do widzenia. Jeszcze płacę czynsz. A właściwie... już się wynoś. Do diabła, zaraz znowu zacznę płakać.

- Chłopcy myślą, że przysłał cię do nas święty Mikołaj.

- Słucham? Nie rozumiem...

Kiedy popłynęła jej pierwsza łza, podszedł i starł ją palcem.

- Nie płacz, Nell. Nie zniosę, że znowu przeze mnie płaczesz.

- Nie dotykaj mnie. - Odwróciła się od niego i wyciągnęła z pudełka chusteczkę.

- Przepraszam. - Powoli opuścił rękę.

- Wiem, co teraz musisz czuć do mnie.

- Nie wiesz nawet połowy. - Wytarła nos i starała się opanować. - O co chodzi z tym Mikołajem?

- Dawno, jesienią, chłopcy napisali list, jeszcze przed twoim przyjazdem. Postanowili, że chcą dostać na Gwiazdkę mamę. Nie jakąś tam mam - tłumaczył Mac, kiedy zaczęła mu się przyglądać - ale tę mamę. Cały czas mnie w tej kwestii poprawiali. Dokładnie określili, jakiej mamy pragną. Miała być blondynką, dużo się śmiać, lubić dzieci i psy, a także piec ciasteczka. Chcieli też rowery, ale to już dodatkowo. Naprawdę zależało im wyłącznie na mamie.

- Och. - Teraz wreszcie usiadła, opierając się o poręcz sofy. - To wyjaśnia parę spraw.

- Sadowiąc się wygodniej, odwróciła się do niego.

- Wpakowali cię w niezłą kabałę, co? Wiem, że ich kochasz, Mac, ale wiązać się ze mną, by ich zadowolić, to już przekracza granice rodzicielskiego poświęcenia.

- Nic nie wiedziałem. Do licha, czy myślisz, że igrałbym tak z ich i twoimi uczuciami?

- Nie z ich - powiedziała głucho. - Na pewno nie z ich uczuciami.

Przypomniał sobie, jaka się wydawała delikatna, kiedy się kochali. Teraz była jeszcze bardziej krucha. Ze smutkiem stwierdził, że zniknęły rumieńce z jej policzków. I blask w oczach.

- Wiem, jak to boli, gdy ktoś cię zrani, Nell. Nigdy nie zraniłem cię umyślnie. Nie powiedzieli mi o liście aż do tego wieczora... Nie tylko ty wtedy przeze mnie płakałaś. Próbowałem im tłumaczyć, że Mikołaj nie działa w ten sposób, ale nabili sobie głowę tym, że cię przysłał i...

- Jeśli chcesz, to z nimi rozmawiam.

- Nie zasługuję...

- Nie dla ciebie to zrobię. Dla nich. Przytaknął z aprobatą.

- Ciekaw jestem, jak się czujesz, dowiadując się, że ci tego życzyli.

- Nie zmuszaj mnie, Mac...

Nic nie mógł na to poradzić, więc patrząc jej w oczy, przysunął się bliżej.

- Życzyli tego tobie i mnie też. Dlatego mi nie powiedzieli. Miałaś być naszym gwiazdkowym prezentem. - Pochylił się i dotknął jej włosów.

- I jak się z tym czujesz?

- A jak mogę się czuć, twoim zdaniem?

- Strzepnęła jego rękę, wstała i podeszła do okna.

- To boli. Zakochałam się w waszej trójce niemal od pierwszego wejrzenia, więc boli.

Idź sobie, zostaw mnie samą.

Ścisnęło mu się serce.

- Myślałem, że stąd wyjedziesz i nas porzucisz. Nie chciałem wierzyć, że cię aż tak obchodzimy.

- Więc byłeś idiotą - mruknęła.

- Mam sobie to i owo do zarzucenia. - Patrzył na drobne odblaski choinkowych lampek w jej włosach i nagle porzucił wszelką myśl o ratunku.

- Zgoda, byłem idiotą. I to najgorszego rodzaju, bo nie przyjmowałem do wiadomości ani własnych uczuć, ani twoich. Nie od razu się w tobie zakochałem. A przynajmniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Aż do wczorajszego koncertu. Zamierzałem ci to powiedzieć, lecz nie wiedziałem jak. Potem usłyszałem coś o propozycji z Nowego Jorku i znalazłem świetną wymówkę, by cię odepchnąć. Zdawało mi się, że uchronię w ten sposób dzieci przed smutnym rozczarowaniem.

- Nie, nie powinien się nimi zasłaniać, pomyślał z obrzydzeniem o swoim postępowaniu. Nawet po to, by ją odzyskać, nie wolno zasłaniać się dziećmi.

- Ale nie tylko. Chroniłem siebie. Nie umiałem kontrolować moich uczuć do ciebie. Przerażało mnie to. - Spróbował położyć ręce na jej ramionach i odwrócić ją twarzą do siebie.

- Dopiero moje własne dzieci mi pokazały, że czasami jednak otrzymujemy to, czego pragniemy. Nie opuszczaj mnie, Nell. Nie opuszczaj nas.

- Nigdy nigdzie się nie wybierałam.

- Przebacz mi. - Zaczęła odwracać głowę, ale ujął jej twarz w swe dłonie i przytrzymał.

- Proszę. Może nie podołam, ale daj mi szansę i pozwól mi spróbować. Jesteś mi potrzebna. Jesteś nam potrzebna.

Tyle było cierpliwości w jego głosie, taka spokojna siła w tej ręce dotykającej jej twarzy. Wystarczyło spojrzeć na niego, by serce powoli zaczęło tajać.

- Kocham cię. Was wszystkich kocham. Nic nie mogę na to poradzić.

Wdzięczność i ulga były w pocałunku, który wycisnął na jej ustach.

- Kocham cię. I wcale nie chcę nic na to poradzić. - Przyciągnął ją do siebie i kołysał jej głowę na swoim ramieniu. - Po prostu za długo byliśmy sami we trójkę. Nie wiedziałem, jak to razem pogodzić. Myślę, że teraz już wiem. - Puścił ją i sięgnął do kieszeni palta. - Kupiłem ci prezent.

- Mac. - Ciągłe jeszcze oszołomiona tą karuzelą uczuć potarła dłońmi wilgotne policzki. - To jeszcze nie Boże Narodzenie.

- Już prawie. Mam wrażenie, że jeśli teraz otworzysz, to przestanie mnie tak ścisnąć w dołku.

- W porządku. - Starła kolejną łzę. - Potraktujemy to jako przypieczonego zgoły. Mogę nawet zdecydować się na... - Zamilkła nagle z otwartym pudełeczkiem w dłoni. Był tam tradycyjny złoty pierścionek z brylantem.

- Wyjdź za mnie, Nell - odezwał się cicho. - Zostań mamą.

Podniosła nań błyszczące ze zdumienia oczy.

- Działasz straszliwie szybko jak na kogoś, kto nigdy się nie śpieszy.

- Jest Wigilia. - Obserwował jej twarz, kiedy wyjmowała pierścionek z pudełka. - Wydawało mi się, że tej nocy, a to jest jedyna taka noc w roku, mogę liczyć na dobry los.

- To dobrze wylosowałeś. - Śmiejąc się, przechyliła głowę. - Bardzo dobrze. - Kiedy pierścionek znalazł się na jej palcu, położyła mu rękę na policzku. - Kiedy?

Powinien wiedzieć, że to będzie proste. Z Nell wszystko zawsze będzie proste.

- Sylwester już za tydzień. Dobrze byłoby zacząć z nowym rokiem. Nowe życie.

- Tak.

- Pojedziesz dziś ze mną do domu? Zostawiłem dzieci u Miry. Możemy je zabrać po drodze i spędzić święta tam, gdzie twoje miejsce.

- Zanim zdążyła odpowiedzieć, uśmiechnął się i pocałował ją w rękę. - Jesteś już spakowana.

- No właśnie. To muszą być jakieś czary.

- Zaczynam w to wierzyć. - Ujął jej twarz w swoje dłonie i nieskończenie długo całował.

- Może nie myślałem o takim prezencie, ale niczego więcej nie pragnę na Gwiazdkę, Nell.

Przytulił policzek do jej włosów i patrzył przez okno na kolorowe lampki migoczące w domach.

- Czy słyszysz?

- Uhm... - Przyciągnęła go do siebie. - Dzwoneczki u sań.